CZWARTEK Nr 45 16 IV 1981 Cena 1,50 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Fot. M. Szymański

SKAZANA NA MAGAZYN?

„Bo piękno na to jest, by zachwycało...”

Ciche i spokojne zwykle Muzeum Narodowe w Warszawie przeżywało niedawno prawdziwe oblężenie. Tłum, ciekawy skarbów muzealnych do tej pory skrywanych z konieczności w magazynach, zapełnił sale. Na otwarciu pokazu sztuki zdobniczej pod tytułem „Skazana na magazyn?” paniom z szatni urywały się ręce, błyskały fotoreporterskie flesze, a pracownikom, którzy wystawę przygotowali w ciągu 5 dni dziękował dyrektor Muzeum – Stanisław Lorentz.

CIĄG DALSZY NA STR. 4

CZY NA TO ZASŁUŻĄ?

ULICA PTAKOLUBÓW
Tego jeszcze nie było!

Ulice o nazwach związanych z ptakami mamy już w Warszawie – nawet w samym centrum (Krucza, Żurawia), nieco więcej jest ich na dalekim Służewcu. W Białołęce jest, jak dotąd, tylko ulica Piskląt. No, ale może będzie tu też – jedyna chyba w świecie – ulica Ptakolubów! Na razie wprawdzie nie ma o tym mowy, bo po prostu wszystkie białołęckie, częściowo leśne i polne ulice zostały już nazwane. Ale wraz z budową wielkiego osiedla przybędzie nowych i jest szansa, że jedna z nich zostanie nazwana ulicą Ptakolubów. O ile jednak przedtem tutejsi opiekunowie na to zapracują...

CIĄG DALSZY NA STR. 6

Fot. T. Kłosowski

Zaczyna się!
– jak powiedział człowiek, który pokazywał sztuki z niedźwiedziem

Co się zaczyna? Otóż rozpoczynamy drukowanie na naszych łamach myśli i powiedzonek różnych znanych postaci – zarówno historycznych jak i literackich. Cykl – **w którego redagowaniu Wy także możecie wziąć udział przysyłając nam wyszperane przez siebie maksymy i „maksymiątka”** – otwierają dziś powiedzenia bohatera powieści Astrid Lindgren „Rasmus i włóczęga”. Wolny ptak boży Rajski Oskar, jak sam siebie nazywał, mawiał: *„Wszystko należy robić sprytnie, jak mówiła baba rozdeptując pchłę nogą.”* I dlatego nie będziemy zamieszczali naszego nowego cyklu w każdym numerze, nie dajemy mu też stałego miejsca ani tytułu. Po prostu go zaczynamy – a Wy kupujcie „ŚM” i szukajcie sobie!

No i co – nie miał racji Rajski Oskar mówiąc: *„Ten tydzień dobrze się zaczyna, jak powiedział człowiek, którego miano wieszać w poniedziałek”?!*

Mieści się w bagażniku „Zaporożca” i szybuje na wysokość 2 km

MINI-MOTOSZYBOWIEC

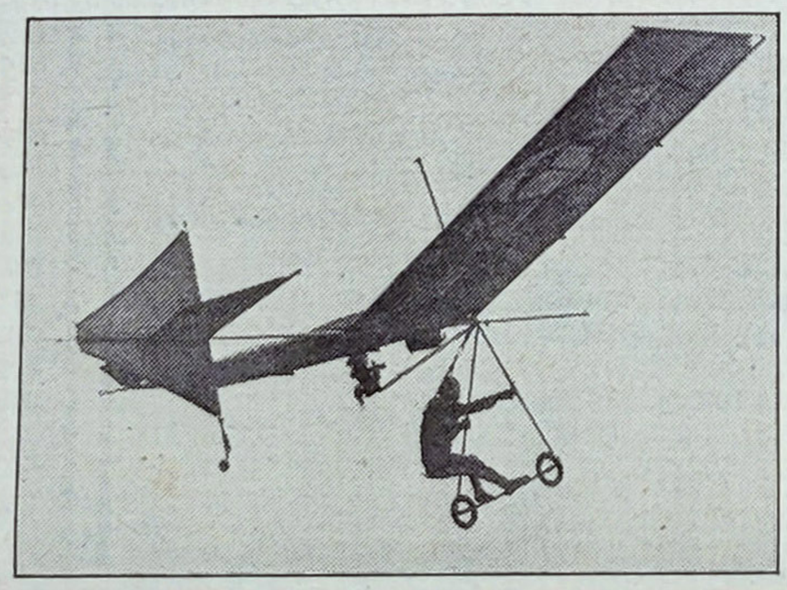

ZSRR. Tokarz z zakładów „Dżambulwodstroj” z Kazachskiej SRR zaprojektował i zbudował mini-motoszybowiec. Na swojej maszynie odbył już 160 lotów uzyskując maksymalną wysokość 2 km oraz prędkość 60 km/godz.

Motoszybowiec zasilany silnikiem o pojemności 350 ccm, waży 55 kg, rozpiętość jego skrzydeł wynosi 9,6 m. Do lądowania potrzebny jest pas startowy o długości 20 m i szerokości 10 m. Ten latający aparat można złożyć w ciągu zaledwie pół godziny i załadować do... bagażnika „Zaporożca”.

Fot. CAF

CO DALEJ ÓSMA KLASO

Zapamiętajcie ten numer
21-47-06!

Jutro w godz. 15.00–17.00 możecie dowiedzieć się wszystkiego, co dotyczy wyboru przyszłej szkoły, przyszłego zawodu. Podajemy warunki przyjęć i adresy szkół. W każdy wtorek i piątek kwietnia działa nasz telefon dla ósmoklasistów.

„HEJNAŁ MARIACKI” kosztuje 57 złotych i 18 groszy

KRAKÓW (PAP). W ramach powszechnej dyskusji nad koniecznością i sposobami oszczędzania, w Krakowie sporządzono bilans wydatków na... „Hejnał Mariacki”. Gra go co godzinę przez okrągły rok 6 hejnalistów i jeden „rezerwowy”, „skaczący na wieżę” w sytuacji awaryjnej. Ich pobory plus koszty umundurowania wynoszą rocznie 0,5 mln zł, którą to kwotę pokrywa urząd miasta z funduszu ochrony przeciwpożarowej. Hejnał grany jest 8760 razy w roku. Koszt jednego trąbienia wynosi 57 zł i 18 groszy. Radio płaci dodatkowo 150 zł temu strażakowi, który odegra hejnał transmitowany w południe, zobowiązane jest również dostarczać na wieżę odpowiednio skrzypiące, twarde buty. Wydatki te zmniejsza każdy silniejszy wiatr: na wysokości ponad 70 m na wieży tak wtedy „gwiżdże”, że hejnał trzeba odtwarzać z taśmy, oszczędzając automatycznie na płacach. Za granie hejnału na skrzypcach, saksofonie czy puzonie (były takie wypadki, dla potrzeby filmu i telewizji) – instytucje zamawiające płacą extra.

REPORTER Świata Młodych

O NAUCZYCIELSKIM AUTORYTECIE

W Lidze Reporterów krzyżują się opinie o szkole i nauczycielach. Bardzo wielu z Was chciałoby dokonać w szkole zmian – marzą się Wam pedagodzy, którzy mogą być powiernikami Waszych trosk, a tymczasem napotykacie na ludzi, którzy nie pragną nawiązania przyjacielskiego kontaktu, bywają niesprawiedliwi, wykorzystują swoją przewagę i podkreślają ją tak często, aż sami rezygnujecie z przyjaznych uczuć, jakie pragnęlibyście dla nich żywić. Atmosfera wówczas jest napięta, wzrasta lęk przed wezwaniem do odpowiedzi, narastają konflikty. Jest to czarny obraz szkoły i w takich barwach widzi ją wielu Czytelników.

Kiedy jednak zastanawiacie się nad ludzmi, których cenicie – dostrzegacie, że właśnie w szkole znaleźć można osobowości nieprzeciętne. To znów są Wasi nauczyciele i wychowawcy! Dostrzegacie nie tylko trud ich ciężkiej pracy, ale przede wszystkim takie cechy charakteru, które Wam imponują; są dla Was autorytetem, wzorem dla naśladowania. Podkreślacie jak bardzo potrafią być wyrozumiali i wielkoduszni, jak zaangażowani w Wasze – nawet zupełnie osobiste – sprawy; cierpliwi i łagodni, partnerscy choć wymagający. Jak rozwijają Wasze zainteresowania, jak im zależy na pokazaniu najpiękniejszych stron życia i po prostu jak bardzo Was – tak często nieobowiązkowych i sprawiających mnóstwo kłopotów – lubią...

Nauczycielom, którzy swoich uczniów traktują jak młodszych przyjaciół, jak własne i kochane dzieci poświęcam dziś całą stronę „Świata Młodych", którą zapełniają wypowiedzi uczestników dyskusji pt. CZŁOWIEK, KTÓREGO CENIĘ.

SZEF LIGI REPORTERÓW

Byłyśmy pełne lęku...

Kiedy 1 września ub.r. przekraczałyśmy próg liceum ogólnokształcącego, w którym nauka miała być następnym etapem w naszym życiu, byłyśmy pełne lęku. Może się to wydać dziwne, ale tak właśnie było. Bałyśmy się nowej szkoły, koleżanek, a przede wszystkim profesorów. Niewielką pociechą był dla nas fakt, że w podobny sposób reagowała większość kolegów i koleżanek. Całe napięcie i niepewność prysnęły już w pierwszym dniu po uroczystym apelu. Sprawiła to nasza wychowawczyni – nauczycielka języka francuskiego i łaciny w IV LO w Tarnowie p. mgr Elżbieta Trojak. Swoim serdecznym, swobodnym zachowaniem potrafiła nas tak ująć, że od pierwszego dnia świata poza nią nie widzimy.

Każdy następny dzień potwierdzał tylko fakt, że trudno znaleźć drugiego tak bezpośredniego przyjaciela młodzieży jak ona. Wie o nas prawie wszystko, na nasze problemy znajduje radę, można z nią mówić jak z najlepszą przyjaciółką, potrafi wszystkich rozweselić, ale i wszystkim dobrze „nakłaść do głowy". Jest, jeśli chodzi o oba przedmioty, bardzo wymagająca, ale – o dziwo – lekcje z nią są najmilsze, są jakby odpoczynkiem, bo panuje na nich atmosfera wzajemnego zrozumienia, świadomość sprawiedliwości ocen, no i fakt niezaprzeczalny, że omawiane przez nią zagadnienia każdy może zrozumieć, jeśli tylko chce. Przekonanie, że nasza wychowawczyni jest najwspanialszym ze wszystkich człowiekiem potwierdziła wspólna wycieczka do Zakopanego. To już było coś, co trudno opisać. Najlepsza z najlepszych i najmilsza z najmilszych starsza koleżanka. Z jakim zapartym tchem słuchałyśmy jej opowieści o Francji, o zabytkach, kulturze, życiu codziennym, by nieco później zaśmiewać się wspólnie z opowiadanych kawałów. Dlatego też, jak grom z jasnego nieba spadła na nas wiadomość, że niestety z końcem roku szkolnego będziemy się musiały rozstać z naszą ukochaną wychowawczynią, która musi nas opuścić...

Nie wiemy, jak ten dzień przeżyjemy, kto przyjdzie na jej miejsce, kto nas dalej poprowadzi w życie. Wiemy jedno, że ktokolwiek to będzie, to na pewno nie będzie to ona... Ale za to co nam dała, czego nas nauczyła (wiary i niezachwianej pewności w ludzką życzliwość i sprawiedliwość), za jej pasję życia i ukochania wszystkiego co piękne – chcemy jej podziękować i to właśnie za pośrednictwem „Świata Młodych" i zarazem pożegnać ją zapewnieniem, że nigdy nie zapomnimy tego, co nam ze swej wspaniałej osobowości przekazała.

Uczennice kl. I b.
IV LO im. St. Anioła
ul. Norwida 22
Tarnów

Szkolna matka

Usposobienie ma łagodne, jest nieśmiała i czuła. Uczy jęz. polskiego już 25 lat. Zawsze miła, uśmiechnięta, każdemu pomoże, poradzi. Często istnieją sprawy, z którymi nie śmiemy się zwrócić do rodziców czy przyjaciół. To ona właśnie nasza wychowawczyni – wytłumaczy nam, wyjaśni. Nie skrzyczy, lecz delikatnie (choć stanowczo) wyłuszczy sprawę, nie zbije (oj, często-gęsto uczniowie mają do czynienia z przysłowiową dyscypliną!), ale przytuli do siebie.

Ileż ja razy zbieram się w sobie cała, żeby nie wybuchnąć i sprać kogoś porządnie, kto rzeczywiście na to zasłużył. A Pani St. Paterek, bo o niej mowa, nic... Dopiero po chwili zaczyna z delikwentem rozmawiać, a jej rozmowa to nie litania skarg i zażaleń.

W piątej klasie nasypały się na nasze głowy lawiny dwój. Co tu ukrywać, chociaż widzieliśmy naszą Panią zasmuconą, nie robiliśmy kompletnie nic, żeby się z tego wygrzebać. Zorganizowała wówczas „Klub Włóczęgów". Należeli do niego „czyści", czyli ci bez dwój. Pierwsza wycieczka, 16.II.80 r. była tylko dlatego nieudana, że poszło na nią jedenaście osób. Ale cała jedenastka wspomina ją do dziś z sentymentem, bo właśnie Pani Paterek nam ją umiliła. Wycieczki były i są organizowane co miesiąc. Są na ogół jednodniowe ale i dłuższe. W klasie szóstej zeszliśmy jednak znowu na psy. Dzięki wychowawczyni i zorganizowaniu przez nią pomocy dla słabszych uczniów powoli odzyskujemy dobre imię.

N.
Stalowa Wola

Pani Danuta Dobosz uczy w Szkole Podstawowej nr 2 im. ZWM w Markach. Obecnie jest wychowawczynią klasy V b i piastuje stanowisko zastępcy dyrektora szkoły. Dla każdego jest zawsze miła i pełna życzliwości.

Nasza klasa opiekuje się Izbą Pamięci Narodowej, w której bardzo często robimy porządki, zmieniamy gazetki itp. Do tych prac, bardzo często braknie nam tak różnych rzeczy, jak np. szpilki itp. Zawsze o pomoc prosimy Panią Dobosz, gdyż wiemy, że wybawi nas z kłopotu i nie zawiedzie. Dla mnie zastępca dyrektora jest drugą matką, która potrafi wybawić z każdego kłopotu i pomóc. Ona nie wybiera sobie lepszych czy gorszych, ładniejszych czy brzydkich, dla niej wszyscy są jednakowymi uczniami. Pani Danuta Dobosz jest przez wszystkich kochana i bardzo lubiana. Będę pamiętała ją długo i zawsze będę jej wdzięczna za wszystko co dla mnie uczyniła, aby ze mnie w przyszłości wyrosła prawdziwa obywatelka Polski.

Agnieszka (13 l)

Niezawodna!

Wspólny język

Nasza wychowawczyni, pani Elżbieta Pawłowska, uczy w naszej szkole od niedawna, bo od początku tego roku szkolnego. Jest bardzo młoda i ładna. Potrafi zawsze znaleźć z nami wspólny język, rozwiązać każdy kłopot i zrozumieć nasze problemy. Chociaż nie jest surowa, to wszyscy bardzo ją szanujemy i poważamy. Nasza Pani bardzo rzadko się denerwuje, a i wtedy bardzo szybko potrafi się opanować.

Nigdy nie stawia niesprawiedliwych stopni i bardzo często wybacza nam nasze wybryki. Uczy w naszej szkole j. polskiego, a w naszej klasie – dodatkowo wychowania plastycznego i zajęć praktyczno-technicznych. Potrafi zawsze tak ciekawie przygotować lekcje, że polubiliśmy jej przedmioty.

Nasza Pani jest bardzo cierpliwa, miła, uśmiechnięta i za to właśnie tak bardzo ją szanujemy i poważamy. Pani Pawłowska jest dla nas wzorem do naśladowania.

Uczniowie klasy VII
Szkoły Podstawowej nr 11
w Zabrzu

W naszym kraju jest bardzo dużo ludzi, którzy powinni znaleźć się na drugiej stronie w „Świecie Młodych". Ale cenioną przeze mnie osobą jest moja polonistka, Pani Kucharska.

Nasze lekcje j. polskiego nie polegają wyłącznie na gramatyce czy ortografii. P. Kucharska uczy nas kochać i rozumieć muzykę, poezję, wszystko, co najpiękniejsze. Na niektórych lekcjach słuchamy Chopina, Moniuszki (byliśmy w operze na „Strasznym Dworze", wybieramy się na „Halkę"). Pani Kucharska bardzo lubi duet fortepianowy „Marka i Wacka", my również ich polubiliśmy, oczywiście poprzez naszą polonistkę (P. Kucharska przyniosła na lekcje ich płyty). Chodzimy także do muzeum, a później dyskutujemy o najpiękniejszych obrazach.

Nie pamiętam czy kiedykolwiek robiliśmy streszczenie wiersza; polonistka uważa, że przez podobne ćwiczenia znienawidzilibyśmy poezję. Nigdy na szóstej lekcji, kiedy już jesteśmy zmęczeni, nie mieliśmy sprawdzianu z j. polskiego. Najczęściej na ostatnich godzinach dyskutujemy o interesującym filmie, albo jest tak zwana „godzina ciekawej książki", na którą wszyscy przynosimy nasze ulubione, prywatne książki i prezentujemy klasie (w ten sposób można znaleźć ciekawą książkę). Pani Kucharska uzgodniła z nami, że co miesiąc będziemy robić „dowolne teksty". Na takich lekcjach każdy pisze to co chce. Mogą to być reportaże, opowiadania, wiersze itp. Następnie dzielimy się na 6-osobowe grupy i z całej grupy wybieramy najlepsze. Później najlepsze z najlepszych. Po wybraniu tego najlepszego opowiadania przepisujemy je do specjalnego zeszytu. Dla naszej całej klasy lekcje j. polskiego są ogromną frajdą

Agnieszka z Wrocławia (12 l.)

P.S. Wyjaśniam jeszcze, że P. Kucharska nie jest naszą wychowawczynią.

Wszystko co najpiękniejsze...

UWAGA! Zgodnie z licznymi życzeniami czytelników otwieramy nowy kącik pt.:

OBYCIE UŁATWIA ŻYCIE

W listach jakie otrzymujemy od Was, często stawiacie nam pytania: „jak zachować się, jak postąpić, jak zorganizować, czy wypada?" Irena Krzykaczewska z Poddębic napisała: „Nauczycielka, która prowadziła w zastępstwie lekcję w naszej klasie, pytała nas, jak byśmy zachowali się w różnych sytuacjach: przy stole, na zabawie tanecznej, wieczorku andrzejkowym itp. Okazało się, że o właściwym zachowaniu wiemy niewiele. Pani powiedziała, że powinniśmy przeczytać książkę: „ABC dobrego wychowania". Książki tej, niestety, nie ma w naszej bibliotece. Nie możemy więc, ani ja, ani moje koleżanki dowiedzieć się, jak należy zachować się w różnych sytuacjach. Pomóżcie nam!" **Spełniając prośbę Ireny i innych Czytelników rezerwujemy w „Świecie Młodych" raz na tydzień miejsce na kącik „Obycie ułatwia życie". I to o czym będziemy pisać zależy od Was, od pytań i tematów, jakie sami zaproponujecie. Czekamy więc na Wasze listy.**

REDAKCJA

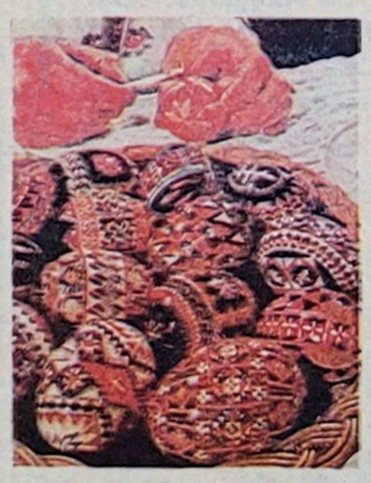

STÓŁ WIELKANOCNY

„Wielkanocne święta mam spędzić u brata i jego żony. Przyjadę do nich dopiero w Wielką Niedzielę rano, dlatego mój udział w przygotowaniach świątecznych ograniczy się prawdopodobnie do nakrycia stołu. Chciałabym to zrobić jak najlepiej.

Hania

Śniadanie wielkanocne ma szczególnie uroczysty charakter, dlatego stół powinien być nakryty świeżym obrusem, najlepiej białym, a zastawa świąteczna, jeśli oczywiście bratowa ma taką w swoim kredensie. Stół udekoruj koszyczkiem z pisankami; bardzo ładnie wygląda na wielkanocnym stole wiązanka z bazi czy gałązki borówki. Nie zapomnij o cukrowym baranku i kurczaczkach z waty.

Ponieważ trudno te ozdoby przygotować w ostatniej chwili, radzimy Ci kupić je wcześniej, a pisanki zrobić jeszcze w domu i przywieźć je gotowe do brata. Będzie to równocześnie miły upominek.

Jajka możesz ubarwić, gotując je w wywarze z łupin cebuli lub esencji herbacianej. Po wystygnięciu całe jajka pokryj czarnym tuszem, a gdy wyschną wyskrob na skorupkach wzorki, tak aby spod tuszu wyłoniła się powierzchnia pofarbowana wywarem z łupin cebuli. Aby nadać pisankom piękny połysk, dobrze jest posmarować je tłuszczem.

Gdy będziesz już nakrywała stół, nie zapomnij, że widelec należy kłaść po lewej stronie talerza, po prawej nóż, szklanki i filiżanki powyżej talerza, a przy potrawach podawanych na półmiskach i salaterkach należy kłaść odpowiednie sztućce.

Twoja pomoc nie może jednak ograniczyć się do przygotowania świątecznego stołu. Powinnaś także wziąć na siebie obowiązek sprzątnięcia ze stołu i pozmywania naczyń. Wtedy na pewno Twoja bratowa i brat uznają, że jesteś gościem sympatycznym i nieuciążliwym.

(mi)

Wychowania obywatelskiego

kurs praktyczny

ZABIĆ?
NIECH CZEKA SWEGO LOSU?

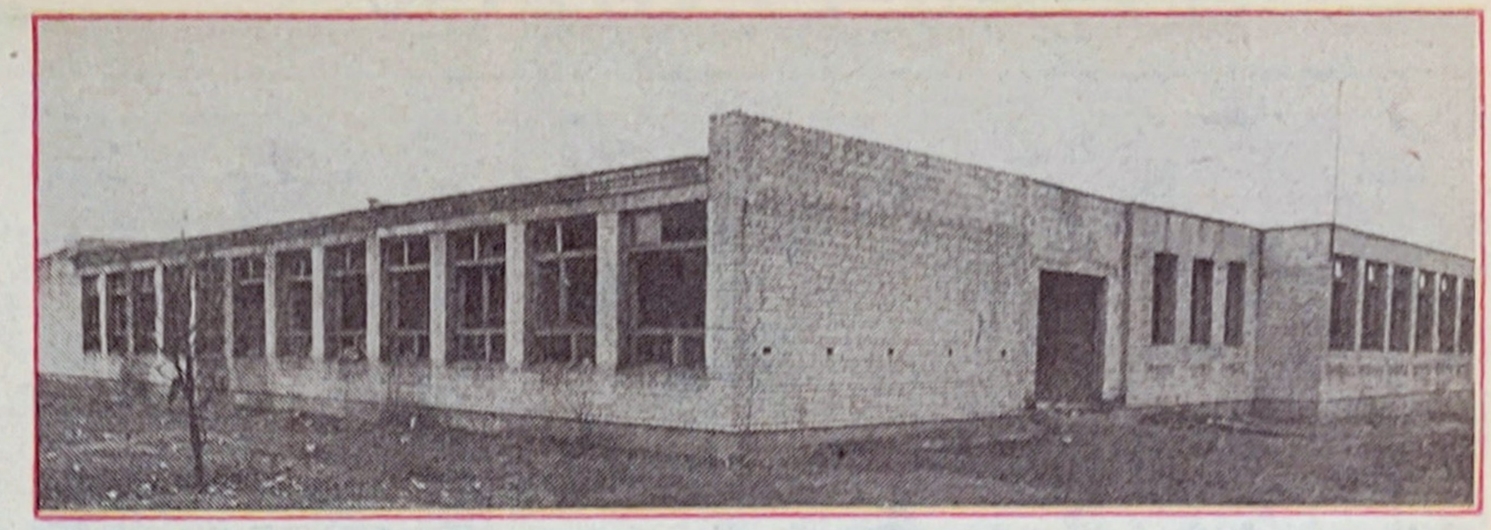

O własnej szkole mieszkańcy wsi Dębniki marzyli od dawna. Kilkanaście lat temu uzyskali pozwolenie na jej budowę. Dzisiaj niewykończony budynek stoi na skraju wsi, a uczniowie jak dawniej uczą się w Rutkach

Zbiorcza Szkoła Gminna w Rutkach (woj. łomżyńskie) jest zbiorczą tylko z nazwy. W głównym, jednopiętrowym budynku jest zaledwie sześć sal – dla 16 klas i ogniska przedszkolnego. Szkoła musi więc wynajmować pomieszczenia w kilku domach prywatnych. Do najbliższego wystarczy przejść przez ulicę. Wprost z chodnika wchodzi się do małej salki. Z sufitu smętnie zwisa drut z żarówką. Od dziury przy drzwiach ciągnie chłodem. Zniszczone ławki. Ciasnota. Dwie następne klasy są oddalone od szkoły o kilkaset metrów. Te chociaż mieszczą się w nowym budynku. Za to kolejne, do których jeszcze dalej, są ze sobą połączone tak że do jednej klasy wchodzi się przez drugą, a na dodatek drzwi się nie zamykają. Za wynajmowanie pomieszczeń szkoła płaci 11.550 zł miesięcznie. Do szkoły uczęszcza 441 uczniów.

– *Dopiero teraz, na wiosnę zacznie chodzić cały komplet* – mówi z-ca dyrektora szkoły Jan Ciborowski – *bo zimą nieraz brak kilkunastu osób w klasie.*

Cóż, uczniowie mieszkają w rozrzuconych wokół Rutek wsiach i z dotarciem do szkoły są kłopoty. Dlatego trudno się dziwić, że niektóre wsie chcą mieć szkołę u siebie na miejscu.

WSZYSTKO POSZŁO NA MARNE

Halina, Bożena i Edek z Dębnik chodzą teraz do VIII klasy.

– *Mieliśmy nadzieję* – mówią – *że będziemy się uczyć u nas, w nowej szkole. Tam miała być nawet sala gimnastyczna.*

Budowa szkoły zaczęła się chyba z 15 lat temu. Tyle starań, pracy, i wszystko poszło na marne.

Jedziemy do Dębnik. Tuż przed wsią na skraju lasu stoi bohaterka tego reportażu, kilkunastoletnia budowa powstała w znacznej mierze z pracy i marzeń mieszkańców wsi. Gołe mury, w niektórych pomieszczeniach zniszczone ramy okienne i sterty cegieł; w innych oknach już założone, ale szyby raczej w kawałkach. W sumie 12 parterowych pomieszczeń przykrytych dachem. A podobno pierwotnie był tu planowany budynek piętrowy.

– *Wieś ma ponad 40 gospodarstw* – mówi sołtys, Stanisław Brzozowski. – *Chcieliśmy, żeby nasze dzieci miały szkołę. Gdy władze zdecydowały, że możemy budować, dotarczaliśmy cement, deski, cała wieś pracowała. W 1972 roku prace ustały. Nowe władze wojewódzkie uznały, że budować nie ma po co, bo przecież powstaną zbiorcze szkoły gminne.*

– *Stały te mury jak szubienica* – mówi żona sołtysa. – *Ludzie jechali na targ, to się śmiali: po co wam to było? A my chodziliśmy, gdzie się tylko dało, prosiliśmy...*

W 1979 roku obecny naczelnik gminy przyznał im sumę około 300 tys. złotych. Sami też się składali, kupili supremę. Wspólnymi siłami założyli dach.

– *Naczelnik to dobry człowiek* – mówi pani Brzozowska – *gdyby tu był inny, to by nam to wszystko rozebrali.*

Pieniędzy jednak zabrakło, a budowa nie została ukończona i taki stan trwa do dziś.

– *Pogodzić się z tym, to nikt nie chciał* – mówi sołtys – *ale co my możemy?*

Pod koniec ubiegłego roku kiedy usłyszeli, że na wsiach mogą powstawać szkoły filialne, zabłysła im znów iskierka nadziei. Wysłali kolejne pismo do władz. Sołtys pokazuje mi odpowiedź z Urzędu Wojewódzkiego w Łomży.

„W odpowiedzi na wniosek mieszkańców wsi Dębniki uprzejmie informuję: problem badała komisja, która ustaliła, że we wsi Dębniki w latach 1981–85 zamieszkiwać będzie od 29–31 dzieci w obowiązku szkolnym, w tym dzieci uczęszczających do klas I–III od 13–14 osób. Przy tej liczbie dzieci nie ma możliwości (podstaw) do organizacji szkoły ani nawet punktu filialnego (...)"

GDYBY POŁĄCZYĆ DĘBNIKI I MODZELE

Dwa kilometry od Dębnik jest wieś Modzele, gdzie kiedyś istniała szkoła 8-klasowa. Obecnie jest tam filia, ale mieszkańcy na wiejskim zebraniu oświadczyli, że jeśli od września nie będzie u nich szkoły 8-klasowej, to oni dzieci do szkoły w Rutkach posyłać nie będą.

– *U nas są cztery sale* – mówi nauczycielka z Modzel Krystyna Ożarowska – *budynek jest stary, drewniany. Bez kapitalnego remontu nie nadaje się do użytku. Dziury w ścianach są na przestrzał, a w dwóch pomieszczeniach dla nauczycieli na piętrze sufit wygięty, woda się leje, wystarczy przejść, żeby z sufitu w klasach odpadał tynk. W wieku szkolnym jest tam około 60 dzieci. Teraz w klasie I i ognisku przedszkolnym uczę 25 osób.*

– *W Dębnikach mogłaby się utrzymać pełna szkoła 8-klasowa* – mówi Jan Ciborowski – *gdyby połączyć Dębniki, Modzele, Olszewo i Górskie.*

Komisja stwierdzająca bezcelowość budowy szkoły w Dębnikach zliczyła dzieci tylko w tej wsi. Dlaczego nie dodała tych z okolicy? Przecież np. z Modzel do Dębnik są niecałe 2 kilometry, a do Rutek – 4. Mieszkańcy Dębnik twierdzą, że Modzele mają „swojego człowieka" w województwie i bez trudu dostaną fundusz na remont drewnianej szkoły.

BŁĄD NACZELNIKA?

– *Piorun wie, czyj to był pomysł* – mówi naczelnik Czesław Kurzyna – *budować szkołę w Dębnikach. Podobno wsie się kłóciły i ci z Dębnik nie chcieli puszczać dzieci do Modzel. Na ostatnie zebranie pojechałem, żeby im wytłumaczyć, że te ich rozjazdy do rozmaitych władz, instytucji i dokuczania na różnych szczeblach są bezpodstawne. Ja zrobiłem potężny błąd, że w 1979 r. położyłem tam dach, żeby nie niszczało. Rozjątrzyłem ich apetyty. Tam stał tylko szkielet – mury jak po pożarze. Według mojego rozeznania nie widzę możliwości zagospodarowania tego obiektu. Był błąd w lokalizacji, który się teraz mści. Jako naczelnik mogę tylko zabezpieczyć budynek przed dewastacją – zabić szczelnie okna i drzwi, niech stoi i czeka swego losu. Od lat wysyłam oferty do różnych przedsiębiorstw, żeby budynek ukończyły i zagospodarowały. Jak dotąd bez skutku.*

– Czy można tak marnować wysiłek i zapał ludzi? Przecież rolnicy dostali od władz pozwolenie na budowę, sami włożyli w nią wiele pracy, a teraz nie mają z tego żadnego pożytku.

– *Pani ma rację, ale jakie jest wyjście? Czy dalej konsekwentnie brnąć w jeszcze dalszy zaułek? Najlepszym wyjściem będzie budowa dużej, nowoczesnej szkoły w Rutkach. To pogodzi i Modzele i Dębniki.*

TO SIĘ NIE MOŻE ZMARNOWAĆ

Wróćmy jeszcze raz do rozmowy z uczniami z Dębnik.

– *W naszej wsi jest dużo młodzieży i dzieci* – mówią – *a zupełnie nie mamy się gdzie spotykać. Przydałaby się świetlica, Koło Gospodyń Wiejskich mogłoby tam zorganizować wypożyczalnię sprzętu gospodarstwa domowego. Ten budynek musi być jakoś wykorzystany, przecież tyle pracy nie może się zmarnować.*

Mieszkańcy Dębnik czują się bezsilni. Czy budynek musi rzeczywiście „czekać swego losu?" Dlaczego mieszkańcy Modzel mogą zagrozić nieposyłaniem dzieci do szkoły, a Dębnikami żadne władze się nie przejmują? Rozumiem, że szkoła w Rutkach jest dla gminy najważniejsza, lecz kto może zaręczyć, że powstanie ona w ciągu najbliższych 5 lat? Gdyby część uczniów – właśnie tych z okolic Dębnik – przeszło do drugiej szkoły odciążyłoby to Rutki. Jeśli nawet po pewnym czasie okaże się, że budynek w Dębnikach jest za duży na szkołę, to przecież na pewno przyda on się wsi. Pomysł z wypożyczalnią Koła Gospodyń wart jest zastanowienia. A może tutaj właśnie znalazłoby się miejsce na wiejskie przedszkole? Wszyscy narzekają, że wieś pustoszeje, że młodzi z niej uciekają i dlatego nie warto budować wiejskich domów kultury, kin, kawiarni. Może gdyby to mieli na miejscu, u siebie, to nie wszyscy by uciekli. Mam nadzieję, że władze województwa łomżyńskiego rozpatrzą tę sprawę jeszcze raz wnikliwie i sprawiedliwie, nie traktując chłopów z Dębnik jako nieszkodliwych natrętów, a gospodarzy własnej wsi. Chciałabym też, żeby uczniowie z Dębnik mogli wyciągnąć z tej praktycznej lekcji wychowania obywatelskiego, w której uczestniczą od lat, właściwe wnioski. Jak na razie są przekonani o bezsensowności pracy społecznej. I trudno im się dziwić.

ANNA PACIOREK

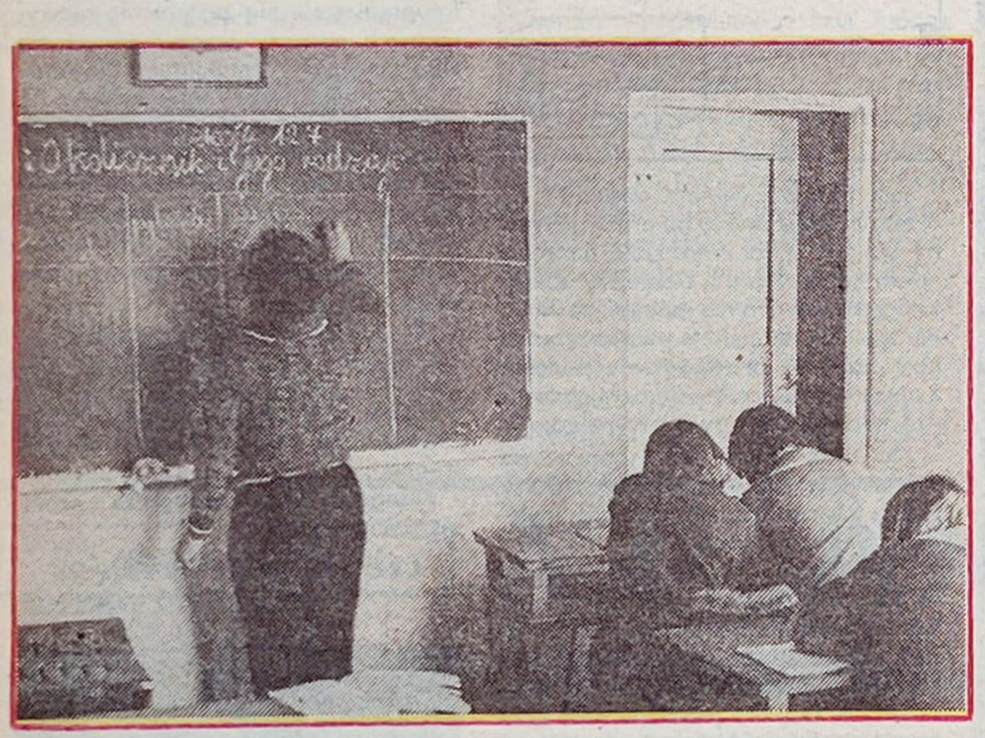

Mieszkańcy Dębnik na czele z sołtysem (pierwszy z prawej) składali petycje do władz, pisali listy do redakcji, jeździli nawet do telewizji – bezskutecznie

Ci uczniowie uczą się w wynajętym pomieszczeniu. A za niedomykającymi się drzwiami mają lekcje ich koledzy.

Fot. J. Łopuszyński

Starsi ludzie czekają na naszą pomoc

Niedaleko mnie mieszka starsza pani. Często ją odwiedzam, pomagam przy sprzątaniu mieszkania, robię zakupy. Lubimy sobie także porozmawiać. Czuję, że jestem jej potrzebna. Chciałabym zaapelować do Czytelników „ŚM", aby i oni rozejrzeli się wokół siebie czy jakaś starsza osoba nie skorzystałaby z ich pomocy. W ostatnich czasach, kiedy wszyscy mają kłopoty z zaopatrzeniem w podstawowe produkty, starsze i niepełnosprawne osoby są w szczególnie trudnej sytuacji. Zauważyłam, że teraz ludzie mają dla siebie coraz mniej życzliwości, zwłaszcza mało jej okazują starszym ludziom. Nie powinniśmy ulegać tym nastrojom, a zdobyć się na trochę serdeczności dla starszych, schorowanych i w pewnym sensie bezradnych ludzi.

Renata

Dwie twarze

Jesteśmy uczennicami kl. VIII. Już od dawna niepokoi nas zachowanie jednego z naszych kolegów. Otóż w stosunku do nas jest on bardzo miły, koleżeński, można z nim o wszystkim pogadać. Cieszy się ogólną sympatią. Zdawałoby się, że jego zachowanie nie budzi żadnych zastrzeżeń, jednak dla nauczycieli jest opryskliwy, bezczelny, arogancki. Doszło do tego, że jedna z nauczycielek zaczęła się go bać. Nie pomagają nawet perswazje wychowawczyni, ani częste rozmowy z dyrektorem. Przez niego klasa ma w szkole najgorszą opinię. Zauważyłyśmy, że coraz więcej chłopców idzie za jego przykładem.

Poradźcie jak mamy na niego wpłynąć, aby się zmienił. Jeżeli ktoś z naszych rówieśników zechce nam pomóc, to prosimy o przesyłanie listów pod adresem redakcji.

Krystyna i Agnieszka

Jak mu pomóc?

Nie zakochałam się jeszcze nigdy i na razie niczego takiego nie przewiduję. Do pasji doprowadza mnie zawsze widok mizdrzących się dziewcząt, dostaję szału na widok tych wypacykowanych twarzyczek, cielęcego wzroku i głębokich westchnień.

Ja, jeśli ktoś np. mi się podoba, obserwuję go dokładnie i długo. Chcę wiedzieć jaki jest naprawdę. I z przykrością muszę stwierdzić, że każdy obserwowany musi czymś się zbłaźnić. W ten sposób wyeliminowałam już pięciu. Ale przejdźmy do sedna sprawy. Do naszej szkoły chodzi syn matematyczki, Marek. Wygląda ten chłopak okropnie, całą twarz ma pokrytą krostami. Chyba nie ma żadnego przyjaciela. Wszyscy się z niego śmieją. A ja patrzę na to – i nic. Chciałabym podejść do niego, pocieszyć go, ale nie wiem jak. Co mam powiedzieć tym, którzy się z niego śmieją? Nie mogę już patrzeć jak ten chłopak cierpi – żyjąc wśród drwin i głupich uśmieszków. Boję się, że on wreszcie nie wytrzyma, załamie się zupełnie. Powinien mieć kogoś bliskiego, kogoś kto podałby mu rękę. Powinien i musi uwierzyć w siebie. Musi, bo inaczej przegra. Poradźcie, jak mogę mu pomóc?

Hanka

Zbieram przepisy kulinarne

Mam 14 lat. Jestem dość niska (155 cm). Lubię zwierzęta, zbieram kalkomanię, naklejki oraz dziwaczne przepisy kulinarne i wiersze do pamiętników. Jestem ogólnie lubiana, zawsze wesoła. Mój ukochany zespół, to The Beatles. Wpisuję do zeszytu wiadomości o jego członkach. Proszę o listy. Mój adres: **Klaudia Wiertninchow, ul. Akacjowa 15, 59-220 Legnica.**

SKAZANA NA MAGAZYN?

Magazyn nie jest chyba najlepszym miejscem ani dla porcelany z Miśni...

... ani dla chińskiej zastawy stołowej

„Bo piękno na to jest, by zachwycało..."

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

Dlaczego dawną sztukę zdobniczą pokazano akurat teraz? Toczy się bowiem batalia o Zamek Ujazdowski, który trochę nagle objawił się Warszawie. Nie pisało się o jego odbudowie, ale oto jest: wspaniała bryła w panoramie miasta i sporo powierzchni wystawienniczej do zagospodarowania. Na te metry kwadratowe patrzy już łakomie cała kolejka reflektantów. Plastycy wymarzyli tam sobie Centrum Sztuki Nowoczesnej, filmowcy małe polskie Hollywood, przymierza się do Zamku muzeum przyrodnicze i grupa znawców historii sportu... Muzeum Narodowe ma nad nimi wszystkimi tę przewagę, że oprócz argumentów słownych, dyskusji czy wywiadów prasowych przedstawiło kłujące w oczy dowody na to, że ma z czym wprowadzić się do Ujazdowa. Pokazało swoją sztukę zdobniczą, a więc zapełniającą do tej pory magazyny, sztukę dawnego dnia codziennego.

Wspaniałe tkaniny, meble, srebra stołowe i porcelany, te aksamitne suknie i stare koronki, te cudeńka z emalii i korala – wszystko to razem mogłoby się pięknie prezentować w ujazdowskich wnętrzach. Nie rozstrzygnę sporu o to, komu „należy się" Zamek Ujazdowski. Ale wiem, że stworzoną tam galerię sztuki zdobniczej mogłabym oglądać, oglądać, oglądać... Za każdym razem marząc o tym, żeby ubrać się w aksamitną suknię z trenem, zasiąść przy orzechowym sekretarzyku, nalać sobie kawy do filiżanki z cieniutkiej porcelany i wachlując się jedwabnym wachlarzem w oprawie z kości słoniowej... myśleć choćby o niebieskich migdałach.

P.S. Kto ciekawy: zbiory sztuki zdobniczej Muzeum Narodowego liczą 60 tysięcy obiektów – mebli, tkanin, ubiorów, wyrobów jubilerskich, porcelany. Do tego 5 tysięcy grafik, rzeźb, ceramiki, przedmiotów codziennego użytku z krajów azjatyckich.

Sporo, prawda? (**am**)

Fot. Marek Szymański

Kalifornijskie spotkania (5)

PRZEZ LEJEK DO SPUTNIKA

Nikt chyba nie pomyśli, że życzę komuś, żeby go w taki sposób załadowano do sputnika. Tu chodzi o zupełnie coś innego. Zwiedzając Muzeum Przyrody i Techniki w Los Angeles, zatrzymałem się dłużej przed dziwnym stoiskiem, czy modelem, w postaci dużego, chyba dwumetrowej średnicy lejka o osi pionowej i o ścianach tym stromszych, im bliżej środka. Pewne wyobrażenie o kształcie tego lejka może Wam dać załączony rysunek nr 1. Gdy naciśnie się dźwi-

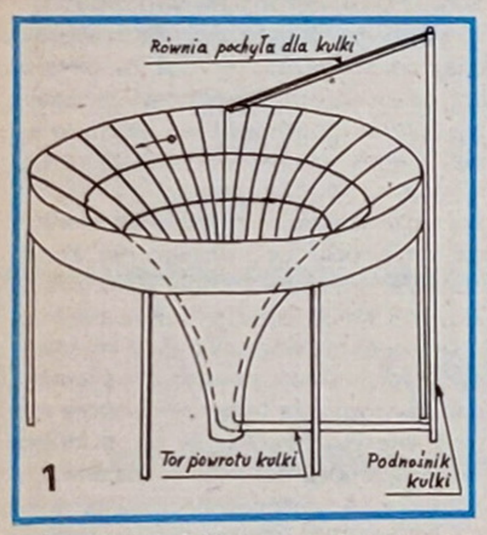

gnię, uruchamiającą ten mebel, niewielka, ale ciężka kulka metalowa wypychana jest na szczyt równi pochyłej, nabiera odpowiedniej prędkości i wtacza się na obrzeże owego lejka, po którym zataczać zaczyna koliste tory. No, nie są to koła w ścisłym znaczeniu, raczej coś w rodzaju spirali, bo chociaż powierzchnia lejka jest gładka i twarda, podobnie, jak i kulki, to jednak nieuniknione tarcie i opór powietrza sprawiają, że kulka powoli traci prędkość i z tego powodu zaczyna się toczyć stopniowo coraz niżej, coraz bliżej środka lejka. Po kilku minutach takiego kręcenia się coraz niżej i bliżej środka lejka i coraz szybciej (mowa tu o czasie jednego obrotu, coraz krótszym, a nie o zwiększającej się prędkości liniowej) kulka dociera do centralnego otworu i spada pod lejek. Teraz może być znów ruchem dźwigni wyniesiona na równię pochyłą i puszczona w ponowny ruch.

Ale gdzie tu sputnik? Zaraz się to wyjaśni. Trzeba jeszcze tylko zdradzić jedną tajemnicę kształtu tego dziwnego lejka. Pochylenie jego powierzchni jest tak dobrane, że składowa pozioma K (patrz rys. 2) rośnie w miarę przybliżania się kulki do środka, do osi lejka, i to rośnie w kwadracie – dwa razy bliżej, składowa ta jest cztery razy większa. Oczywiście, można sobie taką zasadę wymyślić i zrealizować, ale po co?

I tu dochodzimy do sedna sprawy. Każdy z Was chyba wie, że daleko od wszelkich ciał niebieskich, w obszarze, gdzie praktycznie nie ma sił grawitacji, każde ciało albo pozostaje w spoczynku, albo porusza się ruchem jednostajnym i prostolinijnym. Satelita Ziemi jest jednak przez Ziemię przyciągany. Odpowiednio pchnięty, dzięki bezwładności i sile grawitacji zatacza kręgi dokoła jej środka. Minimalny opór, jaki napotyka na swej drodze poza ziemską atmosferą sprawia, że powoli traci swą prędkość i przechodzi na orbity coraz bliższe Ziemi. Im bliżej środka naszej planety, tym siła jej ciążenia jest większa, rośnie ona z kwadratem odległości przebytej ku jej środkowi.

Czy zauważyliście, jak podobne są warunki ruchu kulki w lejku i warunki ruchu satelity Ziemi, czy innego ciała niebieskiego? Te same zasady, choć zjawiska inne.

To nie przypadek. Opisany lejek został pomyślany jako model, pokazujący zjawiska ruchu satelity dokoła macierzystego ciała niebieskiego, a więc Księżyca, czy sputników dokoła Ziemi, lub Ziemi dokoła Słońca. Model taki, oczywiście, nie jest zupełnie wierny, odwzorowuje tylko niektóre cechy oryginału. A więc np. satelita może poruszać się w przestrzeni w różnych płaszczyznach: równikowej, południkowej, ponad biegunami, lub pośredniej, nachylonej pod dowolnym kątem do dwu pierwszych. Kulka może na modelu poruszać się tylko po jednej powierzchni, jaką tworzy lejek. Model jest odwzorowaniem dwuwymiarowym zjawiska trójwymiarowego.

Twórcy modelu oglądanego w Los Angeles dołożyli starań, żeby kulce nadawać zawsze taką prędkość i taki kierunek ruchu, aby poruszała się ruchem prawie kołowym. Ale to przecież jest tylko szczególny przypadek ruchów satelitów. Wystarczyłoby nadać prędkość trochę mniejszą (trochę większa spowodowałaby wyskoczenie kulki poza krawędź lejka), żeby zaczęła zakreślać tor nie kołowy, lecz eliptyczny. Można by też operować kierunkiem prędkości początkowej kulki, aby zamiast torów kołowych uzyskiwać eliptyczne. Gdybym ja był konstruktorem takiego modelu, zamiast obudowanej równi pochyłej, nadającej kulce zawsze jednakową prędkość początkową zawsze w tym samym kierunku, zaopatrzyłbym go w rodzaj katapulty czy pistoletu sprężynowego, z regulowanym naciągiem sprężyny, do którego można by kulkę włożyć i w dowolnym punkcie lejka w dowolnym kierunku z dowolną prędkością wystrzelić po powierzchni lejka. Na takim modelu każdy mógłby przekonać się naocznie, że wprowadzenie kulki, a więc i sputnika, na tor kołowy jest trudne i wymaga dokładnego dobrania prędkości początkowej i kierunku. Na takim modelu można by realizować najrozmaitsze tory kulek od najprostszego – postawienia kulki bez popychania na powierzchni lejka (co byłoby modelem ciała puszczonego bez prędkości początkowej i spadającego prosto ku środkowi Ziemi) do najrozmaitszych torów sputników, a nawet komet.

Marzy mi się jeszcze coś innego. Gdyby to tylko było technicznie wykonalne, w tym samym modelu, przedstawiającym – jak czasem lubią mówić astronauci – studnię grawitacji Ziemi, wykonałbym obok studnię grawitacji Księżyca, płytszą i o ściankach mniej stromych od ziemskiej, skoro księżycowa grawitacja jest słabsza, i obie te studnie umieściłbym we fragmencie wielkiej studni grawitacji Słońca. Rysunek nr 3 pokazuje przekrój takiego wymarzonego modelu przez osi

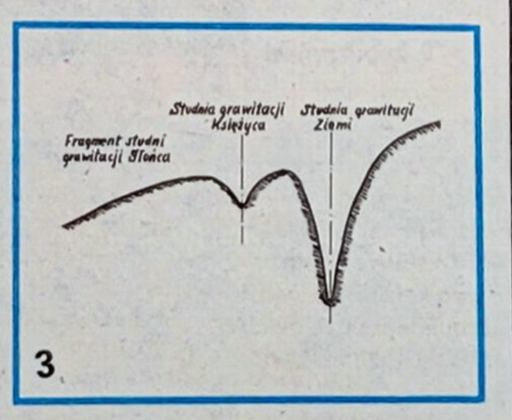

studni grawitacji Ziemi i Księżyca. Oczywiście, taki model nie pokazywałby wzajemnych ruchów tych trzech ciał niebieskich. Ale można by na nim pokazywać jak wystrzeliwuje się z Ziemi statki kosmiczne, tak, aby przekraczały „przełęcz" między grawitacją Ziemi i Księżyca i albo stawały się satelitą satelity Ziemi, albo spadały prosto na powierzchnię Srebrnego Globu.

To by dopiero była zabawa!

STANISŁAW WERNER

Rys. **autora**

PRZEZ OBIEKTYW 2

W ubiegłym tygodniu pisałem o fotografii jako sposobie przenoszenia na zdjęcie otaczającej nas rzeczywistości. Dziś – o tym, skąd się ona wzięła.

Jeśliby ktoś zapytał o to, KTO wynalazł fotografię, nie potrafiłbym na to pytanie odpowiedzieć. Bo fotografia – to owoc szeregu odkryć i wynalazków z różnych dziedzin nauki. Nie będę wdawał się w szczegółowe opisywanie tych spraw, nie będę „rzucał" wielką ilością nazwisk i dat. Napiszę jedynie o sprawach podstawowych. Takie sprawy są dwie. Dwa podstawowe wynalazki, które w konsekwencji stworzyły fotografię.

Najpierw cofnijmy się o... pół tysiąclecia. Około roku tysiąc pięćsetnego wielki florentyńczyk, Leonardo da Vinci, opisuje wykonane przez siebie doświadczenie. Otóż gdyby zaciemnić pokój i zrobić w jednej ze ścian niewielki otwór, to na ścianie przeciwległej ujrzymy odwrócony obraz oświetlonego lub świecącego przedmiotu, który znajduje się na zewnątrz pokoju.

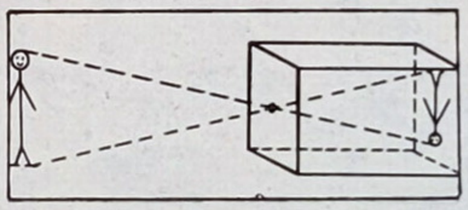

Jest to tzw. „camera obscura", co w tłumaczeniu znaczy po prostu „ciemny pokój", a co zwykło się nazywać „ciemnią optyczną". Dzisiejszy aparat fotograficzny – to nic innego, jak właśnie takie udoskonalone pomieszczenie, no, „trochę" przesadziłem: pudełko z otworkiem z przodu. Camera obscura – to pierwszy z tych dwóch wynalazków.

Ale sama kamera nie wystarczy. Bo przecie powstały na tylnej ściance obraz trzeba jeszcze „złapać", utrwalić, uwiecznić. W jaki sposób?

Przynajmniej kilkakrotnie żyjący w różnych okresach badacze odkryli fakt, że niektóre związki chemiczne reagują na światło, podobnie jak ludzka skóra ciemnieje pod wpływem promieni słońca. Dopiero jednak w roku 1816 (może trochę wcześniej – tego nie wiemy) Francuz J.N. Niepce otrzymuje pierwsze fotografie na miedzianych płytkach pokrytych płynnym asfaltem. Płytki te poddaje się kąpieli w oleju lawendowym, który sprawia, że nie naświetlone części ciemnego asfaltu rozpuszczają się, pozostawiając tym samym jasne tło płytki. Powstaje w ten sposób obraz negatywowy: te części, które były naświetlone są ciemne, a nienaświetlone – jasne. Za pomocą chemicznych zabiegów otrzymuje się obrazy „normalne", pozytywowe. Były one jednak nietrwałe.

Po śmierci J.N. Niepce'a prace nad udoskonaleniem substancji chemicznej, która reagowałaby na światło i dawała obrazy trwałe kontynuuje Francuz L.M. Daguerre. W roku 1837 opracowuje on inną metodę chemiczną, dzięki której otrzymuje już właśnie trwałe obrazy.

Ale zapamiętajcie rok 1839!

Bo wtedy właśnie Francuska Akademia Nauk zatwierdziła oficjalnie narodziny fotografii. A dla uczczenia jej wynalazcy – nazwana została dagerotypią.

Od tego momentu następuje rozkwit fotografii. Oczywiście pierwotny otworek zastąpiono obiektywem, czyli zespołem odpowiednio dobranych soczewek, albo przynajmniej jedną soczewką skupiającą. Z biegiem lat metalowe płytki zastępuje się „mokrymi" płytami szklanymi, które fotograf „przyrządza" (pokrywa światłoczułą emulsją) na krótko przed założeniem do aparatu. Potem przychodzi czas na suchą emulsję, również na szklanej płycie.

Prawdziwym przewrotem w historii fotografii staje się zastąpienie niewygodnych, ciężkich i łatwo tłukących się klisz szklanych – celuloidem. Powstała w ten sposób lekka błona zwijana, na której za jednym zamachem można było zrobić kilkanaście zdjęć. A w konsekwencji powstał aparat mniejszy, poręczniejszy, nie tylko już dla fotografów zawodowych, ale i amatorów. Tym sposobem fotografia zaczęła trafiać „pod strzechy".

Od czasów Daguerre'a bardzo wiele się zmieniło. Lecz istota fotografii pozostała ta sama. Bo czymże ona jest? Powtórzmy wierszyk z książki Jerzego Płażewskiego „Fotografowanie nie jest trudne":

Fotografia = camera obscura + emulsja światłoczuła.

Czekam na Wasze zdjęcia

WŁODZIMIERZ BARCHACZ

Przy pomocy aparatu możemy złapać wyraz twarzy młodszej siostry, gdy śledzi akcję lalkowego przedstawienia

Fot. **Włodzimierz Barchacz**

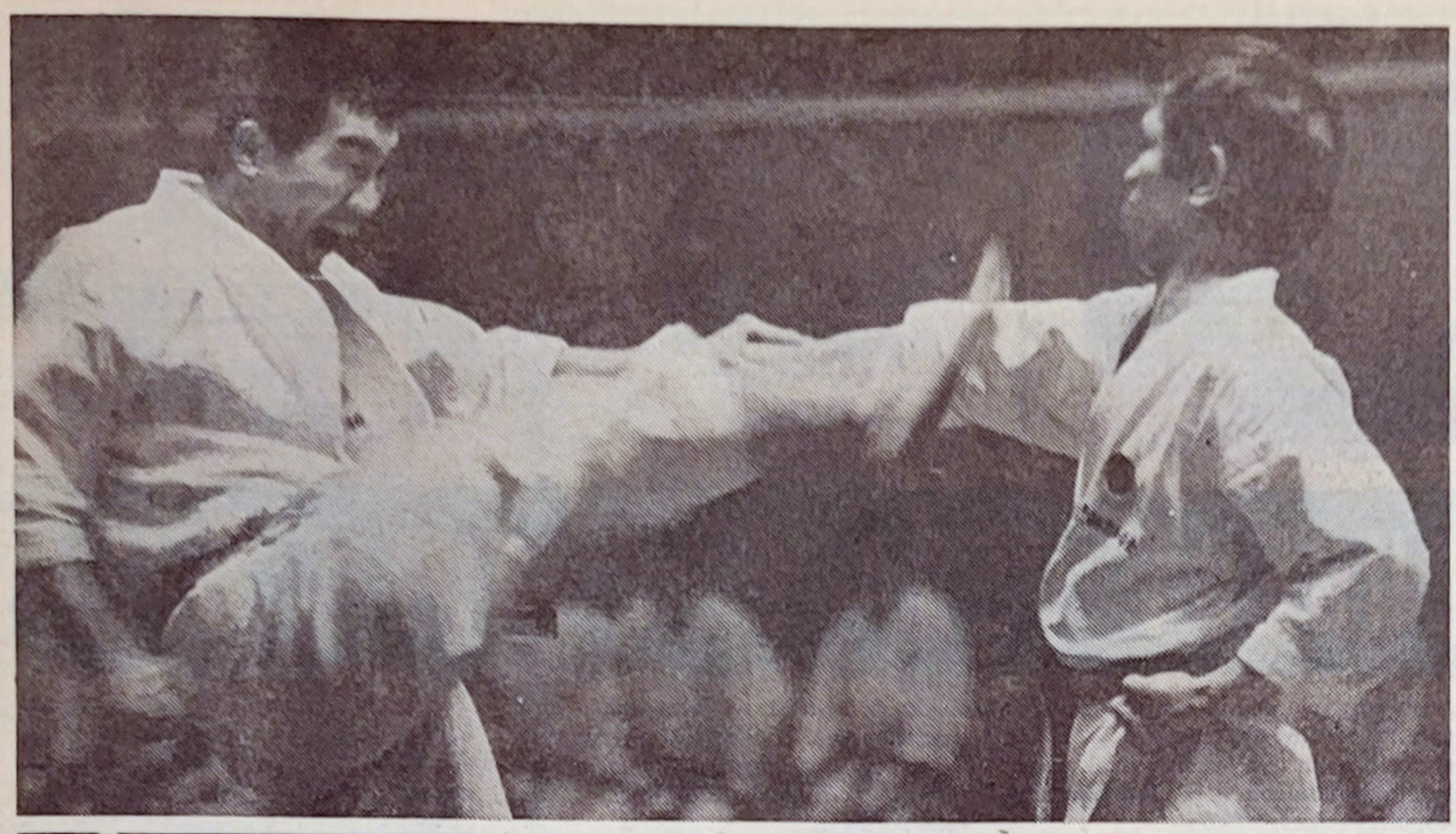

KARATE

Fotoreportaż

MARKA SZYMAŃSKIEGO

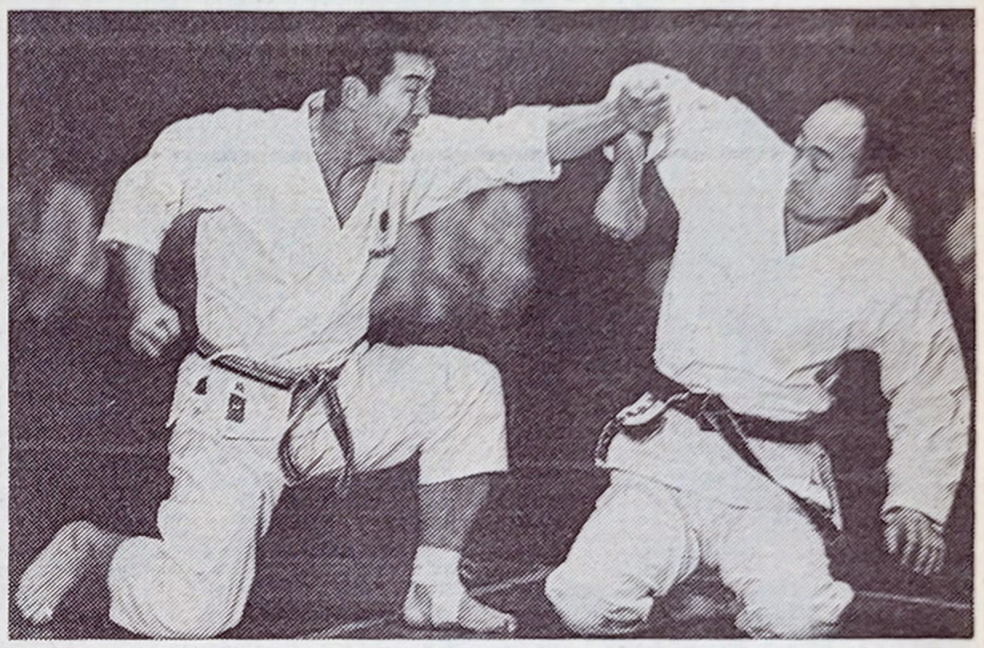

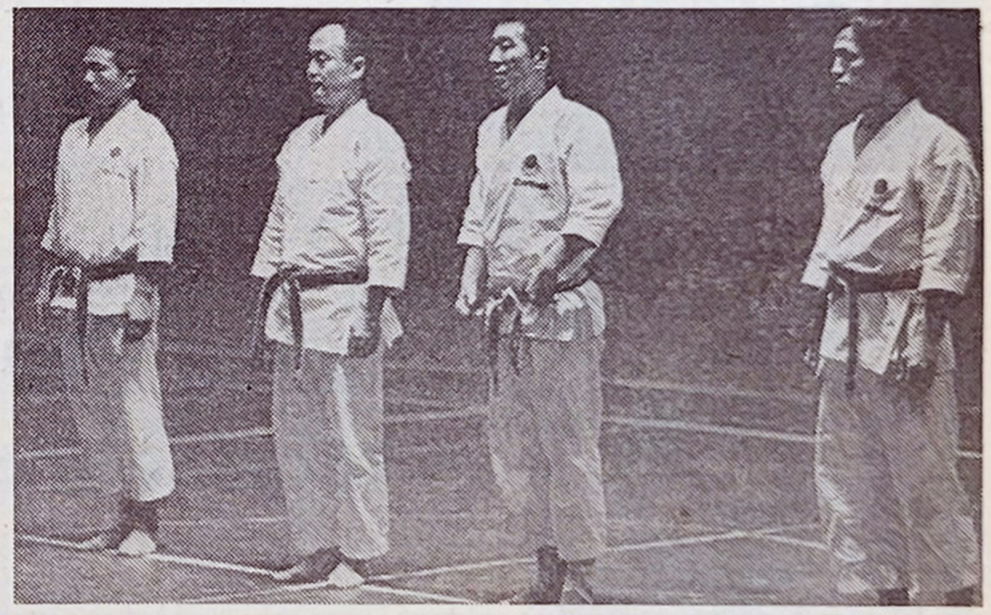

W poprzednich numerach „ŚM" pisaliśmy o historii i drogach rozwoju azjatyckich sztuk walki, takich jak kendo, ju-jitsu, karate, judo i teakwondo. Obecnie chcielibyśmy pokazać kilka najbardziej ciekawych technik związanych ze sztuką karate. Niedawno Polski Związek Karate gościł w naszym kraju czterech wybitnych mistrzów tej dyscypliny, przedstawicieli Japońskiego Stowarzyszenia Karate. Dzięki uprzejmości Ambasady Japonii karatecy japońscy zatrzymali się w Warszawie na kilka dni, przeprowadzając wiele specjalistycznych treningów z czołówką najlepszych polskich instruktorów i zawodników. Cała czwórka gości z Japonii to bodaj najwybitniejsi przedstawiciele tej dyscypliny, mistrzowie świata, znani z filmów i podręczników szkoleniowych. Ich nauczyciel i opiekun Keigo Abe jest jednym z niewielu osób posiadających szósty Dan wtajemniczenia. Ma 43 lata i jest uczniem największego z żyjących autorytetów w karate – Hideitaki Nakayamy, uważanego za kontynuatora tradycji Gichina Funakoshiego, który w początku tego stulecia „stworzył" karate. Keigo Abe, ćwiczący już od 25 lat, także już wpisał się do historii sportu. Jest twórcą specjalnej techniki – uderzenia przeciwnika w pozycji leżącej. Jak nam powiedział Yoshiharu Osaka, trzykrotny mistrz świata, tylko Keigo Abe jak dotąd umie ją wykonywać z taką szybkością i precyzją, że jest ona doskonała pod każdym względem. Osaka posiada piąty Dan w karate i specjalizuje się w kata, czyli wykonywaniu określonych systemów technik. Od sześciu lat niezmiennie zajmuje pierwsze miejsce na mistrzostwach świata właśnie w tej konkurencji. Wszyscy uznali, że precyzja jego technik jest najdoskonalsza. Gdy demonstrował w hali „Gwardii" swoje ulubione kata, którym zwyciężał na zawodach, uruchomiono kilkadziesiąt kamer filmowych. Pokaz trwał tylko godzinę, ale by zobaczyć prawdziwe mistrzostwo warto było dokonać niemałych poświęceń. Dwaj pozostali: Takenorii Imura i Takayki Tsuchii, posiadacze czwartego i trzeciego Dan – to aktualni mistrzowie Japonii w kumite czyli wolnej walce. Ich pokazowy bój, sędziowany przez Abego odbywał się w absolutnej ciszy. Ten podziw dla mistrzostwa obu młodych zawodników zrodził się z niespotykanej szybkości i precyzji ich technik. Wartości tej nie odda oczywiście żaden film, ani najbardziej precyzyjne zdjęcia. Przez długie chwile atmosfera przypominała tę, jaką znamy z japońskich filmów historycznych Akiro Kurosawy. Nie widziano jeszcze w naszym kraju takiego widowiska. Okazuje się, że prawdziwe karate jest jak teatralna sztuka, w której każdy ruch i gest jest zaplanowany, lecz ich kombinacja i zastosowanie uzależnione są od sytuacji. Nie ma tu miejsca na bezładną bijatykę, jakże często spotykaną jeszcze na wielu europejskich nawet zawodach sportowych. Japończycy pokazali, że walka karate jest szermierką gołych rąk i nieuzbrojonych stóp. Polscy zawodnicy, którzy byli w japońskich salach treningowych i mieli okazję ćwiczyć pod okiem tamtejszych mistrzów twierdzą z całą odpowiedzialnością, że tylko nielicznym Europejczykom udało się wytrzymać treningowy reżim. Znakomita większość nie jest w stanie, głównie z przyczyn psychicznych, podołać trudnościom. Stąd też może rodzi się tak wielka fascynacja tą dyscypliną, fascynacja niezwykłymi możliwościami.

JANUSZ ŚWIERCZYŃSKI

KAZIMIERZ ROBAK

NA „POGORII" KLAWE ŻYCIE...

„Pogorią" przez Atlantyk

(od wysłannika Interpress-Sport specjalnie dla czytelników „Świata Młodych")

Zaczęło się wszystko od dnia, w którym imieniny i urodziny obchodził pierwszy oficer „Pogorii", Dariusz Bogucki.

„Pierwszy" od początku cieszył się dużym mirem u załogi i to nie tylko z racji tego, że był wśród nas najstarszy, co podkreślały siwe włosy i broda. Wiedzieliśmy dobrze, że jego nazwisko liczy się w żeglarstwie – wystarczy przecież wymienić tylko dwunastomiesięczny rejs „Gedanią", w trakcie którego kapitan Bogucki z ośmioosobową załogą odwiedził Arktykę i Antarktykę, a więc oba polarne rejony naszego globu, nie wspominając już o wcześniejszych wyprawach na Grenlandię, Islandię czy Spitsbergen. Poza tym „Pierwszy", jako jedyny z naszej załogi był już – właśnie „Gedanią" – na wyspie King George, choć działo się to jeszcze przed założeniem stacji Arctowskiego. Dodatkowo, sympatię zjednały mu długie opowieści, które chętnie snuł wieczorami w mesie. Słuchaliśmy ich z ciekawością, ale autorowi natychmiast przypięliśmy przydomek „Szaman Morski", zapożyczony pośrednio z historii naszego żeglarstwa, a bezpośrednio od chłopców z „Gedanii".

– Panowie, robimy fetę! – oświadczył kilka dni wcześniej Zbyszek, kiedy podczas poobiedniej sjesty siedzieliśmy wszyscy w kajucie. Wniosek był natychmiastowy – książka i piosenka. Książka znalazła się od razu, ale skąd wziąć piosenkę, bo przecież nie wypadało poprzestać na szablonowym „Sto lat"! Jedyną radą było – napisać, a ponieważ czas naglił, więc termin składania tekstu ustaliliśmy na dzień następny.

„Na POGORII klawe życie – no i wyżywienie klawe" zaśpiewało mi się na melodię popularnego „Cysorza" podczas nocnej wachty – i w ten właśnie sposób rozpoczęła się pierwsza ballada naszego rejsu, później nazwana „Pogoria dla bogaczy". Zwrotek było aż dziewięć, ale znalazło się tam miejsce nie tylko dla solenizanta. Swoją zwrotkę otrzymał kapitan Baranowski, chief, kuk, a nawet aura, dmuchająca w nos ostrym, przeciwnym wiatrem.

„Pierwszy" był wyraźnie wzruszony, kiedy odśpiewaliśmy cały tekst i kiedy zobaczył w dedykacji do książki, pod zwrotkami:

„Po kolacji Szaman Morski
snuje długie opowieści
każdy chętnie ich posłucha
mesa ledwie ludzi mieści.
Płyną gadki o „Gedanii"
i o paru innych krypach –
– Czary, czary, panie dziejku,
że aż czasem dech zatyka."

następujący napis: „Cytat z ballady ułożonej specjalnie dla uświetnienia uroczystości imieninowo-urodzinowych naszego Szamana".

„Pogoria dla bogaczy" spotkała się również z aplauzem reszty załogi. Trzeba znać atmosferę dalekich rejsów, by wiedzieć, że każda inicjatywa tego typu jest zawsze mile widziana. Jeśli w dodatku piosenka trafnie ujmuje to, co dzieje się na statku, powodzenie ma zapewnione.

Już kilka dni później była gotowa żeglarska kolęda napisana przez Sławka, zaś podczas świąt narodził się pomysł kukiełkowej szopki sylwestrowej.

Jej premiera miała miejsce w mesie, na dwie godziny przed końcem starego roku. Zgaszone górne światła, koc zawieszony nad stołem i dwa ręczniki z palmą i małpami w tle i rzutnik do przezroczy. „Geograf" stuknął nożem w dzwonek alarmowy, ja wystawiłem ponad kocem mosiężną tubę zabraną z nawigacyjnej i wygłosiłem kilka słów powitania. A później zjawiły się kukiełki. Kogo tam nie było! Rozpoczynał kapitan – kiedy ukazała się jego głowa doskonale wyrzeźbiona przez Wojtka „komandosa" z marchwi, widzowie siedzący do tej chwili poważnie skręcili się ze śmiechu. Później wyskakiwały pacynki przedstawiające chiefa, Szamana, bosmana, kuka, obu polarników, intendenta, dwa klucze francuskie, wyobrażające mechaników, trzy wielkie noże „komandosów" i dwa dziennikarskie długopisy.

Spektakl trwał pół godziny. Bawiliśmy się znakomicie – i my (czyli trzecia wachta wzmocniona Sławkiem i grającym na gitarze Ryśkiem) ukryci za kocem imitującym scenę i siedząca po drugiej stronie reszta załogi. Dostaliśmy oklaski i wiele ciepłych słów – a więc warto było!

Udało się nam ustrzec w szopce niepotrzebnej złośliwości. Teksty kupletów były dowcipne i uszczypliwe, dialogi brane prosto z życia, a jednak dbaliśmy o to, by nikt – nawet w skrytości ducha – nie poczuł się urażony. Przeżyć mieliśmy przecież ze sobą jeszcze kilka miesięcy, po cóż więc było stwarzać niepotrzebne zadrażnienia.

Czas wykazał słuszność naszych założeń. Nawet teraz, kiedy od sylwestrowego wieczoru minęły już ponad dwa miesiące, kiedy na kompasie mamy kurs północny, nie ma ani jednego spotkania przy gitarze – a odbywają się one niemal codziennie – na którym nie śpiewalibyśmy szopkowych kupletów.

CIĄG DALSZY NA STR. 7

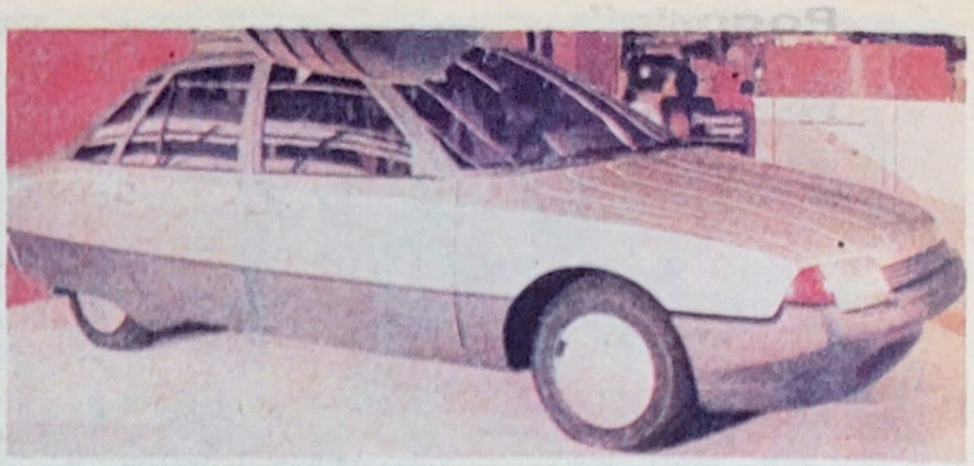

ŚWIAT NA CZTERECH KÓŁKACH

PEUGEOT VERA I RENAULT EVE

Obydwa wymienione w tytule samochody zostały skonstruowane po to by urzeczywistnić wersję tak potrzebnego dziś samochodu oszczędnego. A wszystko zaczęło się od tego, że francuska rządowa „Agencja dla oszczędności energii" zaleciła koncernom Renault i Peugeot opracowanie i zbudowanie prototypów samochodów eksperymentalnych, które umożliwiłyby znaczną oszczędność paliwa. Samochody te powinny posiadać zdolność przewozową, komfort jazdy oraz dynamikę – porównywalną z samochodami aktualnie wytwarzanymi. Przy produkcji tych nowych pojazdów należało stosować jedynie znane i opracowane technologie, z możliwością wykorzystania istniejących inwestycji produkcyjnych. W efekcie podjętych prac powstały samochody: PEUGEOT VERA (Fot. 1), dla którego produkcyjnym samochodem bazowym był PEUGEOT 305, oraz RENAULT EVE (Fot. 2), dla którego produkcyjnym samochodem bazowym był RENAULT 18 TL. Obydwa te eksperymentalne samochody charakteryzują się zmniejszonym o 25% zużyciem paliwa, w stosunku do zużycia w tych samych warunkach paliwa przez samochody bazowe. Miało na to wpływ szereg czynników. Chcemy zwrócić uwagę na dwa z nich, mianowicie na zmniejszenie masy pojazdu i oporów aerodynamicznych.

I tak wagę samochodu PEUGEOT VERA zmniejszono o 166 kg w porównaniu z samochodem bazowym PEUGEOT 305, który waży 925 kg. Uzyskano to poprzez zmniejszenie o 20 kg wagi szkieletu nadwozia, o 57 kg innych części nadwozia, o 26 kg wyposażenia nadwozia, o 25 kg zawieszenia kół, o 17 kg kół i ogumienia oraz o 21 kg zespołu napędowego.

Takie uszczuplenie masy wiąże się z zastosowaniem do wykonywania nadwozia cieńszych, lecz bardziej wytrzymałych blach oraz zastąpienie metalowych części wyposażenia częściami wykonywanymi z tworzyw sztucznych. Zmniejszenie masy kompletnego nadwozia umożliwiło zmniejszenie masy elementów zawieszenia kół i ogumienia, jak również wagi zespołu napędowego, gdyż poważne zmniejszenie masy całego samochodu pozwala na zastosowanie mniejszego, a więc lżejszego silnika.

Następnym, na ogół jeszcze nie docenianym czynnikiem wpływającym na obniżenie zużycia paliwa jest zmniejszenie oporów aerodynamicznych pojazdu. Te opory określa tzw. współczynnik oporu aerodynamicznego – C_x. Wartość tego współczynnika zależy od:

– ogólnego, zewnętrznego kształtu samochodu,

– stanu powierzchni zewnętrznych,

– wlotu i oporu wentylacji nadwozia,

– oporu przepływu przez komorę silnikową,

– przepływu powietrza pod podłogą samochodu.

Współczynnik C_x zależy od kształtu samochodu, ale także od wielu pozornie drobnych zewnętrznych cech jak np. szerokość powierzchni nadwozia, kształt uszczelek okien i rynienek odpływu wody, natrysków szyby przedniej i wycieraczek, lusterka zewnętrznego, klamek, ramek reflektorów itp.

Dlatego też podczas konstruowania eksperymentalnych pojazdów, stwierdzono, że kształty obecnie produkowanych samochodów osobowych wynikają w znacznie większym stopniu z „mody" samochodowej, narzuconej przez „stylistów", aniżeli z naukowych zasad aerodynamiki. Bliższa współpraca stylisty, aerodynamika i technologia produkcji skorupowej nadwozia, rezygnacja z chwilowej mody na rzecz rozsądnego zmniejszania oporu aerodynamicznego może doprowadzić do zmniejszenia współczynnika C_x. Potwierdzeniem tego są samochody eksperymentalne: PEUGEOT VERA ma współczynnik C_x = 0,32 – podczas gdy PEUGEOT 305 około 0,45, zaś RENAULT EVE ma współczynnik C_x = 0,25, a RENAULT 18 TL 0,40.

Te dwa przykłady świadczą o tym, że zmniejszanie zużycia paliwa nie wiąże się tylko z konstruowaniem bardziej sprawnych napędowych zespołów, lecz zależy także od czynników, które przez długi czas nie były w badaniach w ogóle uwzględniane.

ZENON DUTKIEWICZ

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

CZY NA TO ZASŁUŻĄ?

Ulica Ptakolubów – tego jeszcze nie było!

Po zimowej przerwie zabrali się oni do dzieła 30 marca, kiedy przylecieli już pierwsi potencjalni mieszkańcy skrzynek lęgowych. Grupa młodych ptakolubów pod wodzą nauczycieli, pani **Elżbiety Uszyńskiej**, zabrała więc drabiny i kilkanaście nowo wykonanych skrzynek. Materiału na nie nie brakło, bo Instytut Kształtowania Środowiska oddał białołęckiej szkole swoje stare... meble! Trudno z nich wprawdzie wykroić kawałek surowej deski – a taka się na skrzynki najlepiej nadaje – ale laminowane i dzięki temu odporne na wpływy atmosferyczne płyty też okazały się wcale niezłym budulcem... Nad techniczną stroną roboty czuwali panowie **Feliks Bałabuch** i **Czesław Boniek**, prowadzący w szkole pracownię zajęć technicznych. Ale to, czy skrzynki okażą się odpowiednie dla ptaków, których można się spodziewać w Białołęce, zależało już od samych ptakolubów, od ich umiejętności spojrzenia na te domki „ptasim okiem"...

Tu nie obeszło się bez kłopotów. Z przygotowanych skrzynek aż 12 wymagało poprawek. Najczęściej wykonawcy zapominali, że skrzynka nie może być na głucho zabita gwoździami, ale musi się otwierać, jak przebiega lęg. Bywały też skrzynki otwierające się... za łatwo, co stanowiłoby wygodę dla plądrujących je drapieżników, a może i szkodników w ludzkiej postaci... Zdarzały się też skrzynki – dziwolągi, o nietypowych wymiarach i kształtach, z otworami tak postrzępionymi, jakby jeszcze przed zawieszeniem porozkuwał je dzięcioł. Zostały więc w pracowni, a wszystkie dobre, których była zresztą większość – zaczęto rozwieszać na drzewach rosnących wzdłuż trzech głównych, tworzących trójkąt ulic Białołęki. One to stały się teraz „alejami ptakolubów"...

Przyciąganie ptaków (zwłaszcza nowych gatunków) do tego centralnego rejonu osiedla, gdzie dotąd dominowały wróble i kawki, jest szczególnie potrzebne. Zeszłoroczne wieszanie skrzynek przywabiło np. nowy dla Białołęki gatunek – **muchołówkę żałobną**. Ten drobny śpiewak lubi dość bujne parki i lasy, toteż osiedlanie go tu, wśród sośnin, brzeźniaków i zabudowań jest pewnym osiągnięciem. Być może na listę ptaków Białołęki da się wpisać w kolejnych latach następne gatunki...

Dzięki rok temu zawieszonym skrzynkom udało się przeprowadzić szereg obserwacji, zwłaszcza, że 70 proc. wszystkich miało lokatorów. Było np. wiele przypadków zajmowania przez ptaki skrzynek już wcześniej zajętych przez inne. U ptaków bowiem częste są dzikie zajęcia cudzych mieszkań i bezpardonowe eksmisje. Bywa, że jeden gatunek zakłada gniazdo na... innym, ukrytym w skrzynce gnieździe, czasem zawierającym jaja i pisklęta. W tym roku przewiduje się dalsze obserwacje; wychowankowie p. Uszyńskiej założyli już specjalne zeszyty do ich notowania.

Ale rozwieszanie skrzynek ma – jak podkreśla **dr Maciej Luniak** – cele nie tylko przyrodnicze. Z jednej strony chodzi bowiem o przygotowanie i wzbogacenie środowiska dla ptaków, ale z drugiej – o przygotowanie ludzi do okazywania temu środowisku troski. Dotąd wielkie osiedla budowaliśmy często w konflikcie z przyrodą, by później na takiej cementowej pustyni do tej przyrody wzdychać. Tu można do takiej sytuacji nie dopuścić, jeżeli troska o przyrodę będzie czymś naturalnym i widocznym, jeżeli stanie się zwyczajem. Tworzenie takich tradycji dobrze zacząć od przywabiania ptaków, które dzięki ruchliwości, śpiewowi, wszędobylstwu stają się atrakcyjnym składnikiem otoczenia. I od zorganizowania grupy zainteresowanych nimi młodych ludzi, którzy będą przykładem i zachętą dla innych. Idzie tu więc nie tylko o ulicę ptakolubów – najbardziej idzie o nich samych...

Tekst i zdjęcia
TOMASZ KŁOSOWSKI

„Świat Młodych" proponuje:

SIEJMY I JEDZMY RZEŻUCHĘ NIE TYLKO NA ŚWIĘTA WIELKANOCNE!

Tym artykułem rozpoczynamy cykl publikacji poświęconych różnym znanym, nieznanym i zapomnianym warzywom. Wiele z nich – między nami mówiąc prawie wszystkie – uprawiać można w skrzynkach na parapecie, w torbach foliowych na balkonach, a nawet w doniczkach na oknie. Szczegółowe rewelacje na ten temat już wkrótce!

Dziś przedstawiamy Wam rzeżuchę wielkanocną, roślinę najłatwiejszą w uprawie. Wystarczy jej w zasadzie tylko woda, światło i temperatura w granicach 20–22°C. Nie wymaga żadnych nawozów, nawet gleby, choć w ziemi rośnie równie dobrze.

Jeśli dysponujemy odpowiednimi warunkami, to od momentu wysiania nasion do zbioru upłynie 7–10 dni. Jest to więc warzywo o najkrótszym z możliwych okresie uprawy. Dzieje się tak dlatego, że kiełkuje szybko, a tzw. dojrzałość konsumpcyjną osiąga już w momencie, gdy wyrośnie na wysokość kilku centymetrów. Wtedy jest również najsmaczniejsza i zawiera najwięcej cennych składników. Gdy rośnie w niższej temperaturze np. 8–10°C jest o wiele bardziej ostra.

PLANTACJA DOMOWA

Ponieważ rzeżucha jest tradycyjnie siana przed Świętami Wielkanocnymi, a jest to okres intensywnej sprzedaży nasion, nie będzie więc wiele kłopotu z ich nabyciem. Wysiewamy je rzutowo, dość gęsto na płaski talerz, wyłożony wilgotną ligniną, trocinami lub nawet ścinkami gazetowego papieru (wykorzystywać należy części nie zadrukowane, czyste). Pielęgnacja polega na ciągłym utrzymywaniu podłoża w stanie wilgotnym i zapewnieniu jak największej ilości światła.

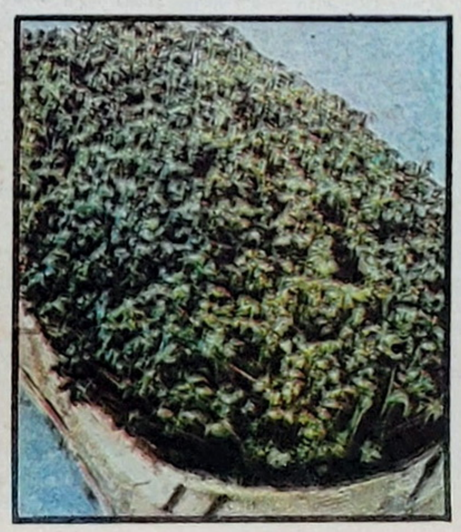

Pierwszy zbiór następuje zwykle już w tydzień po wysianiu nasion. Rzeżuchę ścina się najlepiej nożyczkami. Jeśli na liścieniach są resztki okryw nasiennych, można przed strzyżeniem delikatnie przeczesać – dosłownie – całą plantację rzadkim grzebieniem.

Aby zapewnić sobie możliwość stałych zbiorów najlepiej wysiewać niewielkie porcje nasion już styczniu czy lutym co kilka dni i zbierać jarzynę w miarę odpowiedniego wyrośnięcia.

NIE TYLKO OZDOBNA, ALE SMACZNA I BOGATA W WITAMINY

Z jedzeniem rzeżuchy jest u nas – jak dotąd – nieco gorzej niż z jej sianiem dla celów dekoracyjnych. A przecież zawiera ona m.in. dużo witaminy C (2–3 krotnie więcej niż np. pomidory) oraz inne składniki, w tym również pobudzające apetyt. Można ją przyrządzać dosłownie na sto sposobów, z tym, że na ogół drobno posiekaną na surowo. A więc np.:

- opłukane i posiekane rośliny wymieszać z białym serem i posolić. Nakładać na kanapki z odrobiną np. papryki, bądź krążkami jaj na twardo.
- stosować, jako dodatek do wszelkiego rodzaju sosów, zup, sałatek (np. jarzynowych), a nawet kasz czy klusek. Dodawać w ostatniej chwili, przed podaniem na stół. Warto spróbować!
- surówkę z rzeżuchy robimy podobnie jak z sałaty. Pokrojoną rzeżuchę zalewa się niewielką ilością oliwy, dokwasza do smaku sokiem z cytryny lub kwaskiem, soli, lekko cukrzy. Można do takiej surówki dołączyć siekaną rzodkiewkę, jabłko lub jajko na twardo i w ogóle dodawać wg uznania dosłownie dowolne dodatki smakowe (czosnek, cebulę, szczypiorek, koperek itp.). Pyszne!
- To uniwersalne warzywo smakuje doskonale nawet w koktailach z zsiadłym mlekiem czy jogurtem, ale ja mam swoją ulubioną potrawę. Najprostszą pod słońcem – jajecznicę z rzeżuchą. Przepis: nie ma żadnego przepisu. Usmażyć jajecznicę i dosypać DUŻO rzeżuchy! Oprócz wszystkiego jest to potrawa na czasie: jajka należą do tych niewielu towarów spożywczych, które kupić można bez kolejek i bez kartek. Smacznego!

JERZY DĄBROWSKI
Fot. archiwum

„Pogorią"

przez Atlantyk

NA „POGORII" KLAWE ŻYCIE...

CIĄG DALSZY ZE STR. 5

A przecież „własnych" piosenek mamy pod dostatkiem. Jest ich już tyle, że nosimy się z zamiarem złożenia z nich specjalnego śpiewnika, w którym na honorowym miejscu znajdzie się Hymn „Pogorii" w całości ułożony na jej pokładzie. Śpiewnik taki potrzebny nam jest także po to, by wszystkie te utwory zbyt szybko nie poszły w niepamięć.

Na razie jednak ocala je od zapomnienia „Głos z kubryku", podpokładowy „nieregularnik", kolejna forma ewolucyjna naszych twórczych zapędów. Pierwszy numer „Głosu" ukazał się 9 stycznia, choć „ukazał się" to trochę zbyt szumne określenie, gdyż „nieregularnik" przepisywany jest na maszynie w 6 egzemplarzach i tylko jedna kopia – rozklejona na stole w mesie – trafia do ogólnego użytku. Jak dotąd udało się nam złożyć cztery numery – w tym jeden specjalny, poświęcony w całości zagadnieniom astronawigacji – a także przygotować wydanie dźwiękowe „Głosu" nagrane na kasecie – którą z Falklandów wysłaliśmy naszym dwóm kolegom na stację Arctowskiego.

„Głos", oprócz rubryki „Z życia załogi", w której odnotowujemy najważniejsze wydarzenia rejsu i aktualności (w ostatnim numerze przedstawiliśmy np. schemat olinowania i ożaglowania „Pogorii" dla użytku nowych członków załogi – polarników) ma też kącik „Pod żaglami Pegaza". Tam właśnie, obok cyklu krótkich, surrealistycznych opowiadań Zbyszka i mojej „Samby w odcinkach" na melodię popularnej „Sikoreczki", zamieszczamy teksty wszystkich piosenek, które powstają wśród nas.

W każdym numerze są krzyżówki, za których rozwiązanie redakcja funduje nagrody specjalne w postaci piwa, ponadto „Głos" prowadzi akcję pod kryptonimem „statkowe święto". W praktyce oznacza to patronat nad imieninami i urodzinami członków załogi, które przypadają akurat w trakcie rejsu. Drobne upominki, najczęściej plecione z linek i sznurków oraz piosenki – to wszystko stwarza atmosferę, której solenizanci nie zapomną długo.

Płyniemy tak więc już ponad dwa miesiące, nie zachodząc prawie do portu. Ktoś by powiedział: „nuda", ale niech no tylko powie to któremuś z nas! Od razu usłyszy w odpowiedzi: „Na Pogorii klawe życie...".

KAZIMIERZ ROBAK
Interpress-Sport

Autorką mego portretu tygodnia jest Iwona Matusiak, członek Rzepklubu.

Redaguje
Włodzimierz Lewiński

Cześć!

Wiosna już na całego, bo mnożą się na potęgę byki... w Waszych listach, drodzy Czytelnicy. Niektóre z tych byków rozśmieszyły mnie bardzo:

AŁTOPORTRET **AKTUŁALNIE**
AŁTOGRAF **WRUG**
ŻATKO **WYSZSZY**
RUWNIESZ

ANEGDOTKI NADESŁANE

– Mogę wrzucić do rzeki garść monet, a mój pies znajdzie wszystkie, co do grosza!
– Phi!... Jak ja wrzucę 20 złotych to mój wyciągnie karasia i cztery pięćdziesiąt reszty...

★

– Nie wiesz, z kim teraz chodzi Zośka?
– Nie. Nie widziałam jej już trzy dni...

★

– W śledztwie ustalono, że oskarżony uderzył poszkodowanego dwukrotnie pięścią w głowę. Czy oskarżony chciałby coś do tego dodać?
– Nie, Wysoki Sądzie. To mu wystarczy...

★

– Tato, co to znaczy „epoka kamienna"?
– To znaczy, że wszystko było robione wtedy z kamienia.
– Telewizory też?...

★

– ... i proszę cię, Boziu, żeby Rzym był w Turcji...
– Co ty pleciesz, córeczko!?
– Bo ja tak napisałam dziś na klasówce...

★

Anegdotki wyszperali dla Was: Artur Karpiński, Robert Chmielewski, Grażyna Pacewicz i Piotr Morawiec. Wszystkich zapisuję do Rzepklubu.

Do zobaczenia! Wasz **Rzep**

— On zawsze tak robi jak goście się zasiedzą.

— Czy pan mnie wołał?!

RZEPKLUB: Żarty nadesłali: M. Wojewoda i Mariusz Kaszyński. Przyjmuję ich do klubu.

– Patrz, jedzie ten z telewizji!...

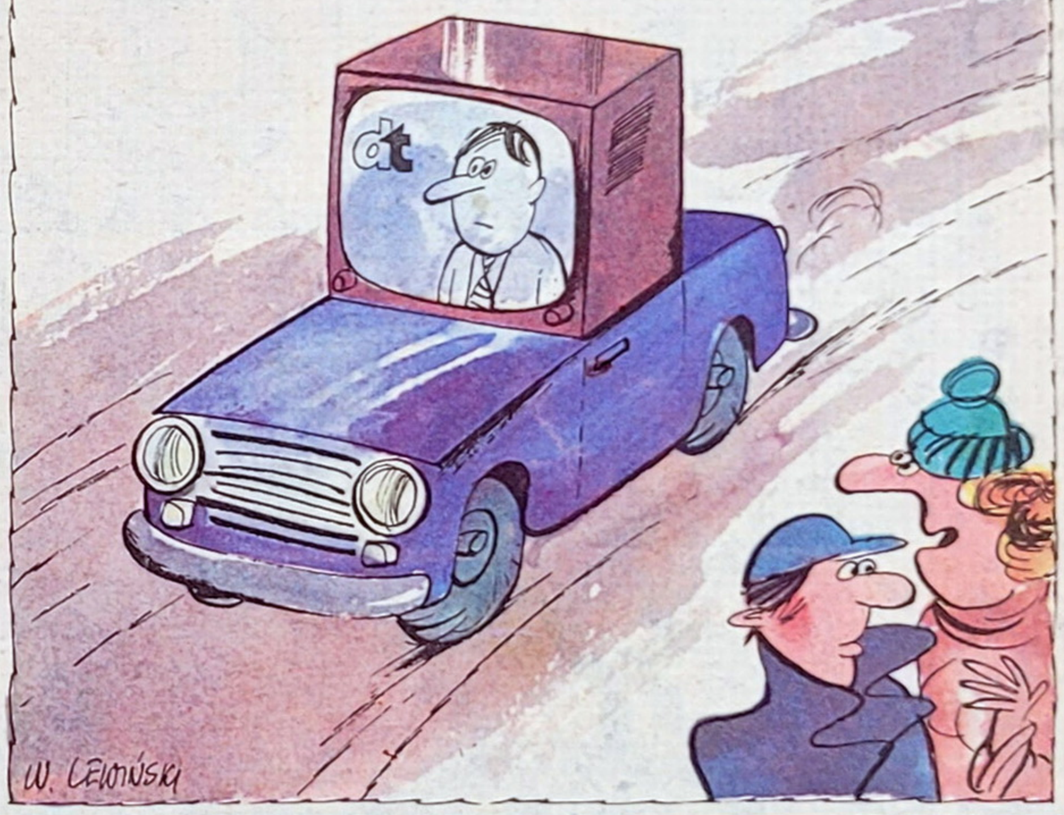

– Jean Dubois. Piętnaście lat. Od dziesięciu na ulicy. Matka uciekła w świat z jakimś Szwedem. Podobno umarła w Londynie. Ojca zabiła beczka przy wyładunku. Jean to spokojny, pracowity chłopak. Trochę stuknięty, ale tylko wtedy, gdy zacznie wspominać o domu swoich starych. No wie pan... kiedyś ledwie wyciągnąłem go z kanału. Chciał się topić. Trzeba go pilnować. Jest jeszcze Robby Craney. To ten gruby, nazywamy go Fatty. W tym wieku co Jean. Obżartuch. Za jedzenie sprzedałby ojca, gdyby go miał.

– Co też nie żyje? – zapytał Stevens.

– Nie, chyba żyje. Tylko nie wiadomo, kto to jest. Matka umarła mu dwa lata temu. Chodziła po ulicy. Jest jeszcze Henry Brown, nazywamy go Limer. Matka jego żyje, ale jest ciężko chora i nie może pracować. Ojciec zginął na wojnie. Limer mieszka u matki. Przy nas trochę zarobi, trochę mu damy i jakoś tam z tego żyją. On na statek nie pójdzie. Nie miałby z kim zostawić matki.

Stevens zapalił fajkę. Allan wydał mu się teraz zupełnie innym chłopcem. Był naturalny, zapomniał na chwilę o swojej roli przywódcy szajki.

Zaskrzypiały schody. Ośnieżeni, zasapani, uśmiechnięci, Jack i Jean zameldowali:

– Wózek czeka, proszę pana.

– Ładujcie.

We trójkę szybko uporali się ze stertą tobołków. Najwięcej kłopotu przysporzyły im skrzynie. Z trudem zdołali je wydostać na zewnątrz.

– Co u diabła macie w tych skrzyniach? Kamienie, ołów? – zapytał zaintrygowany Stevens.

– Moje książki, proszę pana – odpowiedział Allan. – Było tego więcej, ale część musiałem sprzedać na jedzenie.

Stevens w zamyśleniu pokiwał głową.

– A co z nim? – zastanawiał się głośno, wskazując na Kida. – Trzeba go obudzić.

– Nie da rady. On jest nieprzytomny, do rana nie zrobi kroku. Znam go dobrze. No, chłopcy, bierzemy go na wózek.

Stevens zaprotestował.

– Nic mu nie będzie, proszę pana. Okryję go kocami – odpowiedział Allan.

Zrobili z niego tłumok owinięty kocem i znieśli na dół.

Stevens pykając z fajki patrzył, jak umacniają rzeczy na dużym wózku o gumowych oponach.

– Gotowe, proszę pana – zameldował Allan.

– No, to jazda! Pójdę krótszą drogą. Zameldować się u mnie w kabinie. Tylko bez kawałów po drodze. – Podniósł kołnierz kurty, wsadził ręce do kieszeni i zniknął. Jeszcze przez chwilę słyszeli skrzyp śniegu pod jego szybkimi krokami.

– No, chłopcy, w drogę! – mruknął Allan. Rzucił wzrokiem na odrapany, ponury budyneczek, chwilę stał zamyślony, po czym odwrócił się i wparł ramiona w wózek.

TRAWLER „NORTHERN HUNTER"

Wachtowy na pokładzie „Northern Hunter" oparł się o reling i patrzył na grupę wyrostków przy trapie, kręcących się wokół wózka wyładowanego piramidą skrzyń i tobołów.

Niedawno na pokład wrócił szyper, który oznajmił mu, że za chwilę na statek przybędą nowi ludzie.

– „Ludzie? – pomyślał wachtowy. – Jak Bozię kocham, stary zakłada pływające przedszkole". Ruszył w stronę kubryku, by zawiadomić załogę o owym doniosłym wydarzeniu. – Ahoy! – zawołał w dół. – Chłopcy, chodźcie na górę. Mamy gości.

Na pokład wyszło kilku ciekawskich.

– Mustrujemy szkółkę niedzielną – oznajmił wachtowy – o tam, przy trapie.

Podeszli do relingu.

Allan z Jackiem zdjęli Kida. Chrapał w najlepsze. Sapiąc, wnieśli go trapem na pokład.

– A to co? – zapytał wachtowy, gdy mijali stojących przy relingu. – Chory?

– Schlał się – odpowiedział Allan.

– Zdaje mi się, mówiłeś, że szkółka niedzielna? – zakpił któryś. – Na chłopaczków z chóru nie wyglądają

Wachtowy wzruszył ramionami.

– Czort ich wie. W każdym razie nie rozumiem, po co staremu taki komplet.

W kubryku Allan z Jackiem wywołali poruszenie. Z koi powychylały się głowy. Ci, co siedzieli przy stole, otoczyli chłopców.

Cdn.

REMONT? REMONT!

Tekst i rysunki Szarlota Pawel

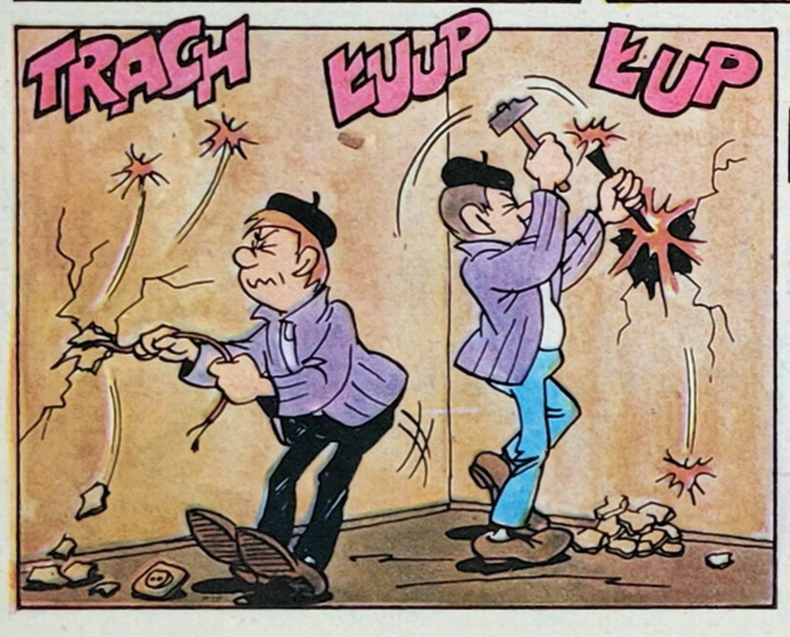

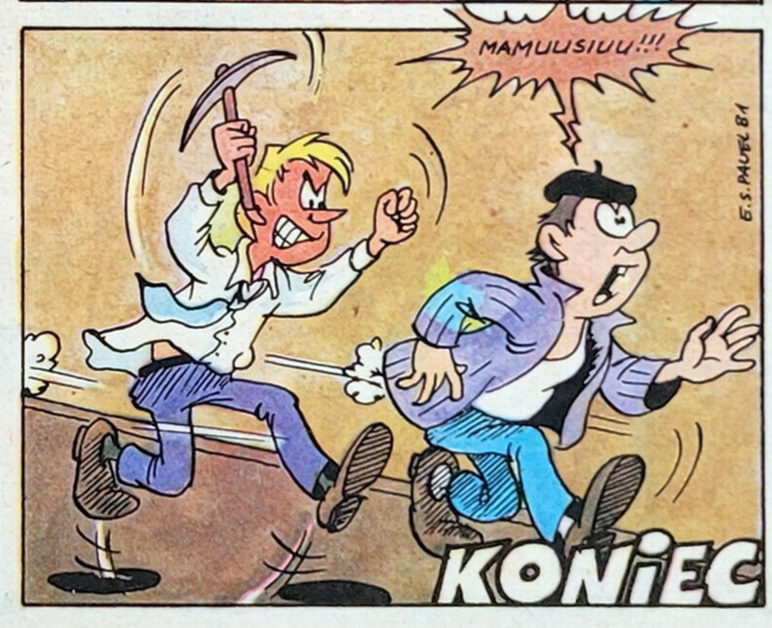

Z pamiętnika Kubusia Piekielnego

12

ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa

ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 031556

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, Teresa Maciszewska, Jerzy Majka (redaktor naczelny), Krzysztof Masłoń, Krzysztof Potrzebnicki, Zdzisław Przybyłowski, Ryszard Ratajczyk, Barbara Skórska, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział łączności z Czytelnikami 21-81-13

TELEX 81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52.

Prenumerata krajowa, miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół w miejscowościach, gdzie nie ma delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjume RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV O/Warszawa Nr 1153 201045-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Opracowanie graficzne
Grażyna Klechniowska

Opracowanie techniczne
Małgorzata Waś

DRUK: Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego

Nr zam. 2076/G L-116

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

38

łowcy fok

– Jakoś nie widziałem pana ani panu podobnych u nas, gdy żarliśmy to, co przynosiłem ze śmietników willi panów Stevensów i innych. – Allan splunął na podłogę i odwrócił się do drzwi.

Stevens milczał. Cóż mógł powiedzieć? Nie było go wtedy w kraju. Gdy wrócił i usłyszał okropną historię o adwokacie Higginsie, było już po wszystkim.

– Nie było mnie wtedy w kraju. Mocno tego żałuję. Mógłbym pomóc.

– Wielu mogło pomóc. Nie chcieli. Bali się. Tchórze! Podli, obrzydliwi tchórze. Bali się, że spotka ich to samo, co ojca. Trzęśli się o swoje posadki, wille, stanowiska. Dali mu umrzeć ze zgryzoty i niedostatku. Wie pan, panie Stevens, kto nam wtedy pomagał? Stary furman, co miał ośmioro dzieci i sucho we własnym pysku. Służąca od państwa Helldingów z własnej woli przynosiła nam resztki ze stołu swego pana, który do dziś nie zwrócił długu, trzy tysiące dolarów. Kiedyś, panie Stevens, gdy będę już miał wszystkiego dosyć, puszczę z dymem co lepszych bydlaków, a na resztę będę polował całe życie. Wykończę, wykończę, nawet jeśli będę musiał się stać gorszym bandytą niż Al Capone. Ani pan, ani nikt mnie od tego nie powstrzyma. Bez wahania zabiję każdego, kto mi będzie przeszkadzał. Pana też.

Stevens wzdrygnął się. „Ileż musiał przecierpieć ten chłopiec – pomyślał – by aż tak bardzo znienawidzić". – Był wstrząśnięty.

– Słuchaj, Higgins. Nie będę prawił morałów ani tłumaczył zawiłości ludzkich charakterów i poczynań. Wobec twojego ojca popełniono zbrodnię. Powiem ci tylko tyle, że za zbrodnię nie płaci się zbrodnią. W ten sposób nigdy do niczego nie dojdziemy. Czasy Robin Hoodów minęły. Ich działalność nie wpłynęła specjalnie na likwidację ludzkich krzywd i bolączek. Teraz zabieram was na statek. Wymagam od was rzetelnego wypełniania obowiązków. Otrzymacie dobrą zapłatę. Widzę, że czytasz prawo morskie, więc wiesz, że na pokładzie jestem pierwszy po Bogu. Ja rządzę, wy macie słuchać. W wypadku nieposłuszeństwa w porcie, pójdziecie z powrotem na ląd. Na morzu zaś poniesiecie karę przewidzianą przez kodeks morski. To wszystko.

Allan uspokoił się. Znów stał się zagadkowo uśmiechniętym, nonszalanckim prowodyrem portowych rzezimieszków.

– Ile masz lat? – zapytał zaciekawiony Stevens.

– Osiemnaście, proszę pana – odpowiedział Allan.

– Pytam poważnie.

– Siedemnaście.

– Mniej więcej w tym wieku dowodziłem kompanią na froncie. Też dodawałem sobie lat. Teraz raczej chciałbym odejmować. – Stevens wskazał kijkiem leżącego na pryczy Kida. – A ten, kto?

– Patrick O'Heill. Ojciec jego był palaczem na „Fort Temple". Wpadł na starą minę w pobliżu Reykjaviku. Z kotłowni nikt się nie uratował. Dobry chłopak, tylko pije.

– Dawno?

– Będzie ze dwa lata. Przedtem włóczył się z trampami po całych Stanach.

– Ile ma lat?

– Chyba z osiemnaście. Kto go tam zresztą wie? Próbowałem go wziąć na munsztuk z tym piciem, ale... – wzruszył ramionami – sam pan widzi.

– A reszta?

Dokończenie na str. 7